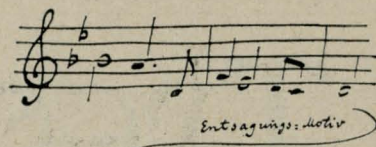


TYGODNIK ILLUSTROWANY



Św. JAN CHRZCICIEL
Z wystawy „Zera” w Krakowie

VLASTIMIL HOFMANN



Beethoven był w błędzie, sądząc, że nutami pisze—dramat. Szukał tego dramatu w symfoniach Beethovena Wagner—i nie znalazł. I zawód ten był dlań—rewelacją.

Albowiem muzyka sama nie tworzy kształtów żadnych; niczego nie jest ona zdolną stworzyć dla oka ludzkiego i dla wyobraźni; nie maluje ona nic, nie może nic opisać, nic wyrazić. Podobnie jak żadne słowa nie są w stanie określić muzyki; wymyka się ona z pod najwyższej potęgi i najwyszukańszej subtelności słowa.

To też Gluck mniemał, że zadaniem muzyki jest: „podtrzymywanie” słowa. Wagner muzykę z roli tej, niejako podrzędnej, wyzwolił. Zadumanemu nad pustką *realną* symfonii Beethovena wyrwał się okrzyk: „O, gdybyż można stopić w jedną istotę postaci Szekspira z melodiami Beethovena!”

O narodzinach tej idei możnaby obwieścić światu entuzjastycznymi słowami Hansa Sachsa, witającego narodziny w domu jego mistrzowskiej pieśni Waltera, otwierającej dla sztuki światy nowe. Tylko, że „*die selige Morgentraumdeut-Weise*” Waltera zapoczątkowała nową erę tylko dla sztuki muzycznej w rozumieniu Glucka, po rozłamywała tylko przeżyte formułki cechowej Meistersingerów tabulatury, a zaś moment objawienia się Wagnerowi całej, ogromnej istoty dzieł jego padł kamieniem węgielnym pod nieznane dotąd ludzkości, całkiem nowe: dzieła sztuki.

Istota dzieł sztuki, stworzonych przez Wagnera, nie polega wyłącznie na wspólnym działaniu muzyki i poezji (słowa), realizujących jeden zamiar i cel. Nie polega wyłącznie na przekreśleniu roli pomocniczej muzyki wobec słowa i odwrotnie, (jak we włoskim *drama per musica*), słowa wobec muzyki. Nie polega również na obdarzeniu cywilizowanego świata t. zw. „dramatem niemieckim”, jakąś specyficzną odmianą rodzaju i stylu, równą co do znaczenia i zakresu np. komedii francuskiej lub operze włoskiej.

Dzieła Wagnera, i tworzone do dziś dnia w duchu jego i sposobie, stanowią nie odrębny „rodzaj” jakiś, lecz stanowią: *światy*, uposażone całą pełnią zgodnie i współcześnie oddziaływujących na nas czynników. Jeżeli w nich poezja wiezie za rękę muzykę i wie doskonale, kiedy ma głos zawiesić, aby muzyka powiedziała to, co poezja przemilcza, gdyż to właśnie jedna tylko muzyka powiedzieć potrafi, to nie koniec na tem jeszcze. Współdziałają przy osiaganiu jednego celu jeszcze i akcja dramatyczna i wszelka technika sceniczna i mimika i plastyka obrazów... nawet, w stosownej chwili, niemy, o wysokiej ekspresji, gest, jak, niedaleko szukając, potężne zamachnięcie się mieczem przez Wotana w „Złocie Renu”...

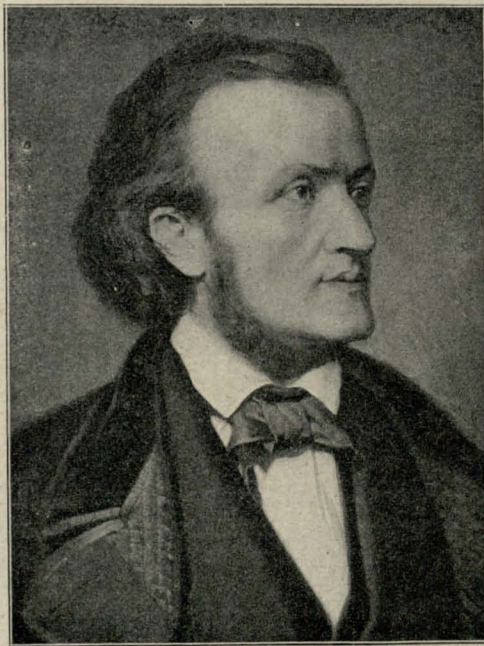
Przedziwna, prześwietnie zharmonizowana gra wszystkiego, co ludzką istotę poruszyć zdolne! Ale też i dla czulszych, wrażliwszych i zasobniejszych organizmów duchowych i umysłowych niemal zbyt silne, zbyt wyzywające, zbyt miazdzące aż do ubezwładnienia i wyczerpania wrażliwości ludzkiej pod wrażeniem tej nieustannej, despotycznej, różnostronnej ekstazy!

* * *

W życiorysach Göthego zapisano *ad perpetuam rei memoriam* spotkanie się poety gdzieś kiedyś, podczas którejś przechadzki z człowiekiem, jadącym konno i wiozącym na ręku otulone płaszczem, śpiące dziecko.

Spotkanie się to, tłumaczą przenikliwi biografowie, dało asumpt Göthemu do napisania nieśmiertelnego „Króla olszyn”. Nic nie przeszkadza

nam wierzyć na słowo wszystkowiedzącym biografom. Biografom Wagnera też wierzymy, tropiącym, bodajże do dziś dnia jeszcze, ślady w „Meistersingerach” osobistych gorzkich doświadczeń, rozżaleń i uraz „wielkiego reformatora”. I on też przecie sam, jak owy rycerz wielkiego rodu, do Norymbergi przybyły, stawał z „niebywałą” pieśnią swoją przed areopagiem wysokiego cechu mistrzów-śpiewaków! I jemu też różni zgryźliwi, zaśniedziałli i zawistni Beckmesserowie ileż razy wytykali „uchybienia” i „herezye”, cenzurując bez miłosierdzia wszystko, co nad strychulec ich reguł wyrastało. I nad nim też ferowano wyroki



Ryszard Wagner.

okrutne a zabójcze: „*Versungen und verthan!*” (Zaśpiewał fałszywie i pogrzebał siebie!)

I długo, długo wyklarowywał się pomysł „Meistersingerów” z mętów poziomych i zapraw niegodnych, aż stał się wielkim tylko obrazem przełomowego etapu w pochodzie wogóle ludzkości ku doskonaleniu się duchowemu i ogarnianiu coraz szerszych horyzontów.

O ile to możliwe, podnieśmy z nad dzieła Wagnera całą bajeczną polifonię muzyczną, otrząśmy je z niej, aby smugi dźwięków, przeplatające misternie osnowę dzieła, nie brózdziły nam, i spójrzmy, jakie bogactwo tematów psychologicznych i filozoficznych złożyło się na osnowę podstawową „Meistersingerów”.

Czyliż dzieli nas od nich—czasu przedział? Nie, nie dzieli, podobnie jak szatki znikome królewicza duńskiego, z nieokreślonej nawet epoki dziejów, nie oddzieliły duszy jego „hamletyzującej” od wielu to dusz współczesnych i... przyszłych, rzuconych, bezradne, w labirynty zagadki życia!

Tylko że na niespożytości wewnętrznej istoty kończy się analogia między historią o Hamlecie a historią o norymberskim z XV wieku turnieju śpiewaczym. Podczas gdy Szekspir osnuł tragicznie sceny rozegrane na zamku Elsinor ciężkimi beznadziejności mrokami, żadna jakby kopia nie do przebicia nie unosi się ponad dziełem Wagnera. Przeciwnie! Z surowej atmosfery katedry, gdzie zasiadał trybunał nieprzejednany, z niemal tragicznego powikłania stosunku Sachsa do Ewy, oraz perypetyi, zdawałoby się bez wyjścia dla zakochanych: Waltera v. Stolzing i córki Pognera, wyprowadza nas Wagner po nocy burzliwej i po wzruszeniach głęboko elegijnych na

pełne jasności, pogody, przestworu i wesela błonia pod Norymbergą.

I tam, na błoniach tych świetlanych, jakby na Elizejskich jakichś polach, jakby w blaskach jakiegoś wszystko odkupiającego Przemienienia, dokonywa się nie: zgładzenie niemitosierne czasów, które przeminąć muszą, przez czasy, które muszą nastać, lecz dokonywa się szczytne i górne, majestatyczne i radosne połączenie się gasnącego wczorajszego dnia ideałów ludzkich ze świtanieciem nowego doskonałości dnia. Doskonałości się... tak! Albowiem iście nad-człowiecza indywidualność Sachsa, podobnie jak nie dopuszcza do wzgardliwego odrzucenia przez Waltera ofiarowywanego mu *insignium* mistrza-śpiewaka, cechowego tradycyjnego łańcucha, tak też i nie dopuszcza do wzbicia się młodego, świeżo pasowanego na bohatera chwili śpiewaka w pychę, że oto szczytu dosięgnął perfekcji nie tylko niebywałej, lecz i nie do prześcignięcia.

Ponad entuzjazm i okrzyki tłumy, aklamującego Sachsa, ponad uroczysty moment objawienia się przedziwnej pieśni przyszłości, ponad upojenie ludu, owej tłuszczy dotychczas nie dopuszczanej do misteryów śpiewaczych, a obecnie sankcjonującej wyrok „mistrzów”, ponad wielki akt rezygnacji, dokonany przez Sachsa wobec miłości Ewy dla Waltera, ponad wesele połączonych ze sobą na życie całe kochanków, ponad wszystkie motywy dzieła, splecione oto teraz przed nami w najwspanialszą harmonię i grających *a tutte corde*, wzbija cię, jak potężny akord finalny, inwokacja Hansa Sachsa, zamykająca dzieło:

— Czujcie tych, którzy w najcięższych okazyjach nie dali w duszach ludzkich zagasnąć Sztuce, uszlachetniającej i podtrzymującej to, co zdziałała już i bez czego dalszy rozwój stałby się niemożliwym. Hołd wam, mistrze-śpiewacy, zostający za progiem nowej ery, wśród której panowanie już nie wasze, lecz — waszych następców! Cześć wam i chwała, dostojni twórcy Przeszłości! Bez waszego zapału i trudu nie zanalibyśmy tego, co dziś oto niezmierną napełnia nas radością. I niech się święci ojczyzna, dostojna dusza nasza narodowa, szybująca wciąż niewstrzymanym lotem ku podbojom i szczytom! Pokój wam wszystkim w zjednoczeniu, pojednaniu, ducha pogodzie i gorącym umiłowaniu—Przyszłości!

Oto całej struktury dzieła, strzelający wysoko ponad mrowie ludzkich pokoleń,—szczyt.

* * *

Tak z zamierzonej pierwotnie ironiczno-satyrycznej „operze komicznej” wyłoniła się wielka apoteoza *wyzwolenia*, której główny *leitmotiv* ideowy starałem się przed chwilą wyodrębnić i uwi-docznić.

Tego wyzwolenia momentu przełomowego w dziejach sztuki, względnie ducha ludzkiego, wyzwolenia go z poziomości prywaty wszelkiej, oraz zaślepienia przemijającą efektywnością chwili, dokonywa Sachs, górujący nad dziełem całym, jakby jakiś półbóg z sagi o Nibelungach. Ten istotny *spiritus efficiens* dzieła daje napozór anegdotycznej fabule „Meistersingerów” górny wzlot *ad astra*. Na nim też od początku do końca powinna trwać uwaga nasza, gdyż bez przeniknięcia arkanów jego rozstrzygającej ingerencji oglądać tylko będziemy cienie chińskie „działających osób” lub plawić się tylko w kunsztownej polifonii muzycznej, nie odczuwając niczego poza nią.

Lecz, zanim objął dowództwo nad duszami ludzkimi, w pierw musiał Hans Sachs w czyścocowym ogniu *rezygnacji* sam siebie wyzwolić.

Wyzwalanie się to stanowi drugi naczelną

motyw zasadniczy „Meistersingerów”. Winie się on, jak elegijnego bluszczu zieleń, przez dzieło. Przedziwnie subtelne uczucie Sachsa dla młodziutkiej Ewy, subtelne, jak wyrefinowany urok jesieni, ustępuje dobrowolnie wobec miłości Ewy dla Waltera. Ona bardziej przeczuwa, niż wie, co się staje w duszy „wielkiego przyjaciela”, i ma dla niego serdeczne współczucie i słowa, na jakie tylko zdobyć się potrafi czasem duchowa organizacja—kobieca. Sachs żegna zalatujące doń nocą letnią bzów zapachy... zwodnicze i—złudzenia. Ewa powiada doń: „Tyś mnie uczynił!”—lecz opuszcza go lotnie i żywiłowo, jak ześlizguje się różowość świtu ze szczytów wzgórz i śpieszy słonecznym blaskiem upajać i uszczęśliwiać kwiaty. I dzieje się to w pogodzie dusz, przypominającej styl helleński, w pogodzie jasnych i szlachetnych dusz, nad których grą, pełną psychologicznej głębi, unosi się zaledwie dostrzegalna mgła melancholii życiowej. I tę jeszcze melancholię przepaja Wagner filozoficznym Sachsa stoicyzmem, jakby nie dość jeszcze szlachetną była i górną...

Splećmyż znowu ze sobą te, pojedynczo ujmowane na chwilę: pasma, smugi i girlandy! Splotła je dłoń mistrza, aby pełną, jednolitą całość składały, nie dopuszczając żadnego pojedynczego pierwiastku do monopolizowania wrażeń widza i słuchacza. Powiem więcej. Głęboka i górna treść ideowa „Meistersingerów” temperuje nastrój wyjątkowo muzyczny, rozpasany bez granic i miary w operze włoskiej. Jeden z największych muzyków świata sam dobrowolnie hamuje niejako muzyczną ekstazę słuchacza, nie dopuszczając do zacieśniania horyzontów dzieła posiadającego najszerszą nawet skalę—muzyki.

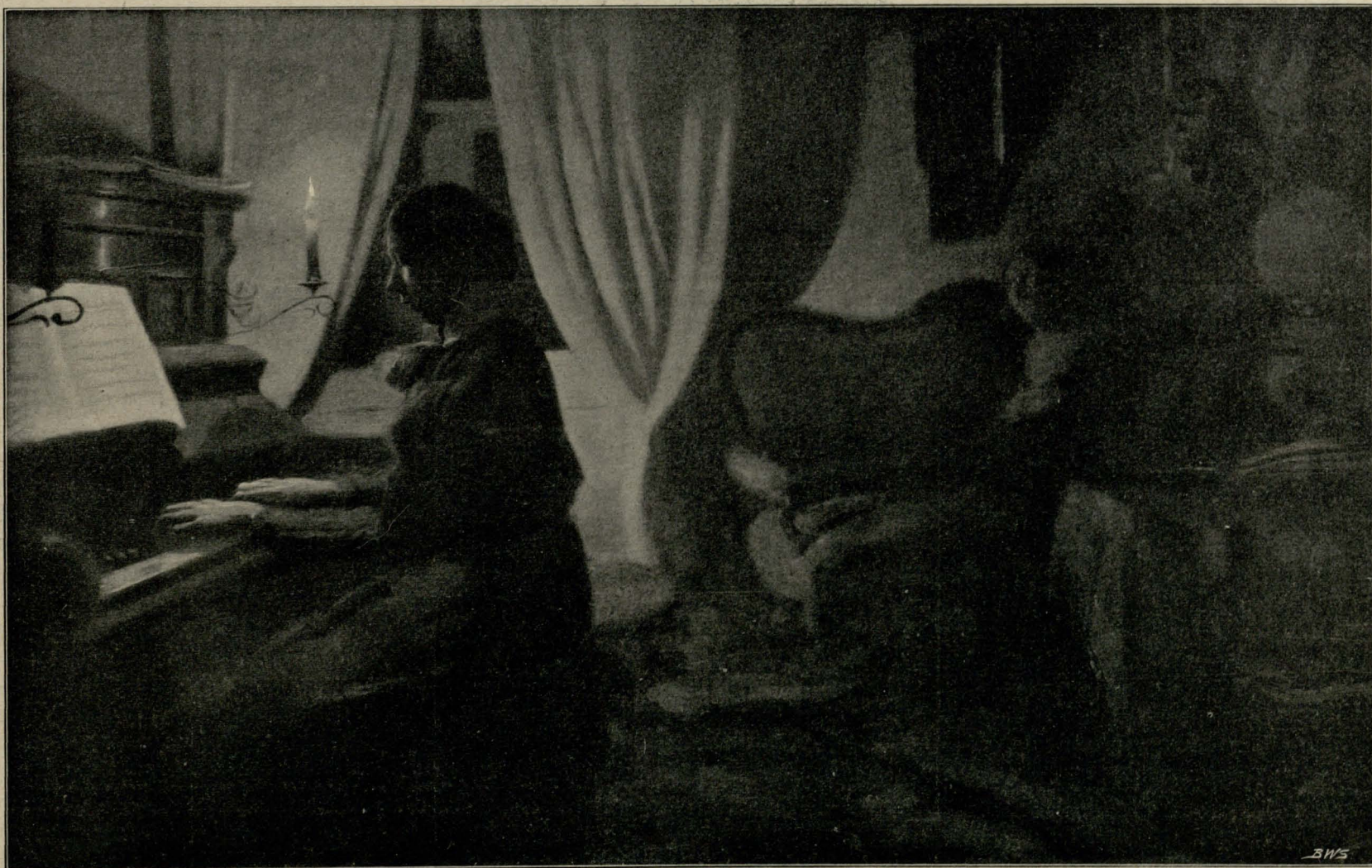
Twórczość Wagnera jest kategorięcznym zaprzeczeniem zasady: sztuka dla sztuki.

Jestże on naprawdę, jak zgodnie twierdzą... encyklopedye, *muzykiem*? Czyliż, jak np. odnośnie do kompozycji Schumanna lub Chopina i tylu innych, wyłącznym uprawnionym tłumaczem dzieł Wagnera ma być, niejako z urzędu, tylko skończenie biegły znawca... kunsztu muzycznego lub kompetentny entuzjasta muzyki?

A jeśli nie potrafi wznieść się ponad tonów i dźwięków „cechową” analizę wedle obowiążącej tabulatury? A jeśli delectacya smakosza muzycznego wyczerpie całe jego przejęcie się dziełem takim np., jak „Mistrze-śpiewacy”? Czyliż my, tłum szary, mamy w przedśionku wagnerowskich gmachów przyglądać się kornie, poprzez uchylone podwoje, przechadzającym się po wspaniałym wnętrzu nielicznym—wybranym?

Sądzę, że „niedostępności” zastłonę należałoby już usunąć z przed podwoi wagnerowskich dzieł i nie straszyć nią, *ad usum Delphini*, tych, którym się przez to zdaje, że dzieją się tam jakieś niezgłębione misterya *muzyczne*, dla których, gdy ucho ich nie dość wrażliwe, tedy niemasz już po co pielgrzymować do „Siegfriedów” i „Parsifalów”.

Że tak nie jest, może udało mi się dać choć przedsmak wyrozumienia, przypominając niektóre motywy ideowe, związane organicznie i nierozdzielnie z muzycznymi leitmotiwami przepysanych „Meistersingerów”...



O ZMIERZCHU

Z wystawy „Zera” w Krakowie.

WŁODZIMIERZ TETMAJER

OR-OT: MARSZ SKRZYNECKIEGO.

Włodzimierzowi Tetmajerowi
z uściskiem serdecznym
myśl jego zwracam.

Idzie zadumy szara godzina,
Serce się tłucze, jak ranny ptak,
Stara melodia wieje z pianina,
Ach, taka stara—a młoda tak!
Sen śni się jakiś, dawno strzaskany,
Z oczu coś cieknie: krew to czy łza?
Lecą ułany! lecą ułany!
Marsz Skrzyneckiego na śmierć im gra!

Dziewczę klawiszy ledwo dotyka,
Jakby dotknęła najkrwawszych ran...
Z pod Ostrołęki płynie muzyka
Do ułańskiego potomka ścian.

Szumem sztandarów bije mu w skronie,
Piorunem szabel uderza wzrok...
Słońce za chmurą... głóg na zagonie...
I szare życie... i szary mrok...

Wyrwał się z frontu koń rozhukany,
A na nim jeździec, jak wichru bóg:
Lećcie, ułany! lećcie, ułany!
Do ziemi proga! za ziemi próg!
Tyle nam szczęścia, co w tym rozpędzie,
Co w tem szalonym tętnieniu krwi!
A na tych polach grób jutro będzie!
A w grobie: życie dla przyszłych dni!

Mknie tryumfalnie marsz staroświecki
W świat ten sam niby, a nie ten sam...
Okiem z marmuru patrzy Skrzynecki,
I piękna dama wygląda z ram...
Otwórzcie okno: może już świta?
Może od zorzy pali się dal?...
I spazmem łkania za gardło chwyta
Taki okropny, gryzący żal!

Od poboju grają armaty,
Marsza ostatnie akordy mżą,
Żółtych rabatów ścielą się kwiaty,
Młoda, gorąca zalane krwią!

Wylata dusza za snem w pogoni
Za snem! za szczęściem! O, marszu! dzwoń!...
I warczą bębny, i trąbka dzwoni,
I słuchacz rwie się: „Za broń! na koń!”.

Cicho tak—cicho wieje z pianina
Starej melodiurywany dźwięk,
Ledwo klawisze muska dziewczyna,
A jednak taki wydały jęk!
Sen śni się jakiś, dawno strzaskany,
Z oczu coś cieknie: krew to czy łza?
Lecą ułany! lecą ułany!
Marsz Skrzyneckiego na śmierć im gra!

ARTUR OPPMAN (OR-OT).

2)

Jeżeli w tej dzielnicy polskiego Parnasu jest Or-Ot niezaprzeczenie... burmistrzem, to trudniej mu utrzymać prym w dziedzinie innej, którą uprzednio nazwałem „pieśnią patriotyczną“.

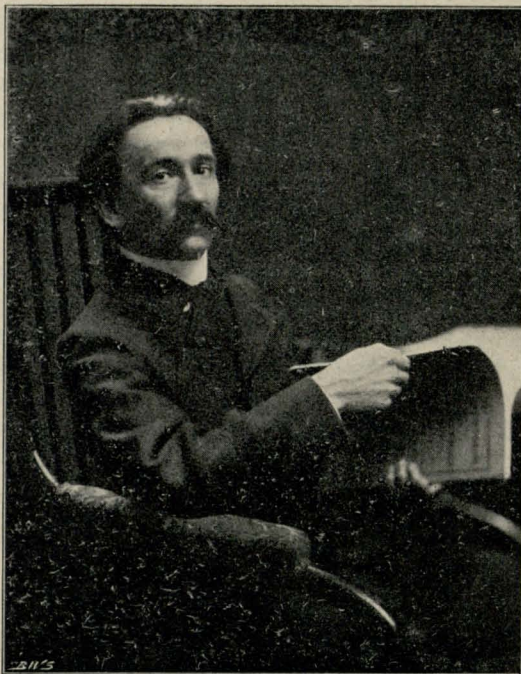
W tej dziedzinie, rozciągającej się od recitativa piosnki żołnierskiej, obozowej, aż do hymnów męczeńskich, gdzie brzmia jeszcze w sercu i pamięci społecznych takie dzwony, jak „Do matki Polki“ lub „Pogrzeb kapitana M.“—spółzawodnictwo jest przygnębiające.

Jednak i w tym rodzaju potrafił Or-Ot nie tylko ciągnąć pieśń wspomnień i bólu na nutę znaną, tutaj przeważnie Mickiewiczowską (porównaj jego „Somo-Sierę“ z „Redutą Ordoną“), lecz i stworzyć nutę zupełnie odrębną w przejmującym tragiczną prostotą „Liście z Sybiru“. Ten list młodego wygnańca osnuty chyba na dokumencie oryginalnym, tyle w nim epickich szczegółów, dobranych do żrącej rozpaczypowrotu, ten list, powtarzający ciągle: „Mamo“, mógłby być przesłodzony, gdyby nie był skończenie piękny. Or-Ot zwycięża tu ogromną trudność: nakrochmalonego sceptyka zmusza płakać, jak dziecko.

Innym zupełnie rytmem, w takt muzyki żołnierskiej, maszerują wyborne wiersze: „Markietanka“ i „Saragossa“. „Wybór poezji“ dowodzi, że Or-Ot umie władać każdą strofą po mistrzowsku, że nawet z łatwością tworzy kunsztowne i nowe. Za przykład może posłużyć wiersz p. t. „Krzyk“ (str. 240) albo misterna „Piosnka uliczna“ (*). Ale trudnych rytmów zwykle nie szuka. Z upodobaniem używa wiersza sylabicznego trzynastozgłoskowego, tych aleksandrynów polskich, lub strofy ośmizgłoskowej z czterema i dwoma rymami, którą najlucniej rozśpiewać jędrne opowiadania żołnierskie, albo lekkie filozofowanie o życiu w rodzaju Heinego.

Heine! Dziwny, odrodny od pnia ger-

*) Nie pomieszczona w „Wyborze“, drukowana w miesięczniku *Sfinks* za luty 1908 r.



Artur Oppman (Or-Ot). Fot. ks. Kirchner.

mańskiego Niemiec. Niedostatecznie zanotowano wpływ na poezję polską tego obcego ducha, równający się może wpływowi Byrona w epoce romantycznej. Nie miejsce tutaj na dłuższe o tym wpływie uwagi, gdyż Artur Oppman czasami tylko, niby od niechcenia i dla okazania, że i to potrafi, bierze nutę niemieckiego arcy-liryka. Trochę zbyt naśladowczo w „Romancy o złotowłosym pażu“ (str. 109), wyborne zaś i nawskroś po swojemu w „Don Kiszocie“ (str. 219).

Ten wiersz wyodrębnia się ze zbioru przez jedyną w nim dozę ironii, której wogóle niema w poezjach Or-Ota. Ironia polega na obronie Don Kiszota przeciw biczom satyrycznym Cervantesa. Z takiego pomysłu wysnuwa Or-Ot prawdziwie oryginalną apo-

mentować mych uwag. Niech miłośnicy literatury pięknej przypomną sobie wszystkie, szeroko już słynne, pieśni Or-Ota i odnajdą nowe w świeżo wydrukowanym „Wyborze poezji“. Oprócz wielu radujących serca spostrzeżeń stwierdzą i piękny rozkwit polszczyzny, szczepionej na najlepszych wzorach, hodowanej z nabożeństwem i pomysłowością. W „Kronice mieszczańskie o Malchrze Gąsce... 1574 r.“ dowiódł Artur Oppman, jak wyborne zna mowę staropolską, jak świetnie, żywo i bez pedanterii umie nią składać pieśń nową, ku zbudowaniu lingwistów i ku uciesze nowożytnego słuchacza. Język zaś jego wierszy społecznych odznacza się doskonałym wyrobieniem w autentycznym kierunku. Or-Ot nie poświęca nigdy ortodoksyi językowej ani dla rymu, ani dla zadziwienia czytelnika. Szlakiem dawnych mistrzów prowadzi poczet zasłużonych wyrazów do wiązań, zwrotów i harmonii coraz nowych, bez rzekomego wzbogacania mowy polskiej szeregiem bękartich neologizmów, zwietrzałych archeologizmów, dowolnego folkloru i grubych błędów gramatycznych, jak to zbyt często przytrafia się pisarzom, okrzyczanym za mistrzów słowa. Gruntowna znajomość i poczucie języka wzmacnia wyrazistość stylu Or-Ota, a wykwinny gust i rozsądek kierują doborem wyrazów. Te cenne i popadające dziś w zaniechanie zalety stanowią o zewnętrznej ozdobie pieśni Or-Ota.

Inne, głębiej leżące piękności wykwitają z przeglądu całej twórczości poety: przede wszystkim czystość jego pieśni pod względem narodowym i moralnym. Jako Polak, pragnie on tylko chwały i szczęścia swego narodu; pomija gorycz wymówek za grzechy przeszłości, nie chce porywać narodu do problematycznych przeistoczeń; kocha i śpiewa to, co było i jest piękne w narodzie; zagrzewa do trwania przy ołtarzach i ogniskach. Głębokie zaś uczucie religijne, choć niem nie paraduje, przenika wszystkie jego pieśni, ogranicza wybór tematów i wyrażań,



Ostatni klasyk.



Cechmistrz Melchior Halabarda.

teozę marzycielstwa, słodsze, niż lisi rozum, trwałego, jak świat. Ale apoteozę znów przytyka satyrą, i tak wychodzi sam chlubiście z tej odsieczyp, danej „rycerzowi smętnej twarzy“. Ten wiersz policzyć można do najprzebieglejszych fortelów satyrycznych w literaturze polskiej.

Zakazawszy sobie cytat w tym pobieżnym szkicu, nie mogę słowami autora doku-



Szewc Onufer.

czyni jego świecką lirę wysoce estetyczną, wolną od gminności i wyuzdania. Obywatel i chrześcijanin równoważą w nim uamiętnego wielbiciela życia.

Wielbicielem życia kwitnącego, młodości, jak najdłużej zapalanej, dojrzałości, młodzińskich ideałów pamiętnej, jest Or-Ot narówni z każdym prawdziwym poetą. Częste w jego wierszach lirycznych powroty do rozpamiętywań o śmierci są tylko formą miłowania życia, żalnością za niem w przewidywaniu końca. Pragnienie „pięknej śmierci“ na szczytnym boju, lub w tryumfalnym przełomie złych czasów na dobre jest

pożądaniem wyższej rozkoszy powetowania bólu osobistego przez nagrodę szczęśliwości zbiorowej. Filozofię swą życia i śmierci streścił najdobitniej poeta w trzech wierszach, położonych na końcu tomu: „Prośba o piękną śmierć“, „A gdy będą mnie chowali“, a zwłaszcza w ślicznym „Rymie o wędrownym muzykusie“.

Ze zwykłą, ujmującą skromnością kreśli tu Or-Ot swój portret zmniejszony w rysach i losach wędrownego muzykusa. Rym szczerzoty, nie będę go szarą prozą opowiadał. Wolno było Matejce pożyczać rysów swej twarzy postaci Stańczyka, wolno i Opp-

manowi malować się w postaci Don Kiszota lub grajka. Podczas gdy grasująca dzisiaj powszechnie w literaturze megalomania wywołuje tylko niesmak w czytelniku i chęć strącenia wieszczą z nienależnego mu piedestału, szlachetna skromność Or-Ota, połączona z wysoką jego wartością artystyczną i obywatelską, pobudza do protestu przeciwko jego „mikromanii“. Na wielkim sądzie polskiego Parnasu, o którym mówiłem we wstępie, usłyszy nasz poeta z pewnością wyrok sprawiedliwy: „Przyjacielu, posiadź się wyżej!“

JÓZEF WEYSSENHOFF.

GABRYELA ZAPOLSKA:

TAKA BYŁA SŁODKA!...

NOVELA.

4)

IV.

Sadowski grzęźnie coraz bardziej. Nawet asystent profesora, ten, który mieszka w willi róż po to, aby czuwał nad spokojem nerwów chorych, kręci znacząco głową.

— Zawsze mam kłopot z wami, Polakami—mówi—zaraz miłość...

Sadowski protestuje gorąco.

— Ach! skądże miłość. Jesteśmy oboje sami, wśród obcych, stąd zbliżenie. Ale to tylko zwyczajna przyjaźń. Pani Ama tak sympatyczna.

— Tak słodka...

— Tak słodka. Tak. To wyrażenie właściwe. Zresztą czuję, że znajomość ta działa na mnie zbawiennie.

Młody asystent zdaje się być rozba- wiony.

— I owszem. Niech się pan bawi, ale do pewnej granicy. My dozwalamy naszym pacjentom grać w kręgle na żarty... Ale gdy partya zaczyna się seryo, profesor stawia veto.

Sadowski aż się zarumienił.

— Jak pan może, panie asystencie? Taka kobieta! to jest taka, co jest dużo warta... Jabym nigdy się nie ośmielił.

— To też nie pan, ale ona się ośmieli!

— Co?...

Zdawało się, że Sadowski skoczy małemu Wiedeńczykowi do szyi.

— Co?...

— No. Proszę się nie denerwować! Ja zawsze w życiu najwięcej się boję tych kobiet, które są... słodkie.

I, uchyliwszy kapelusza, asystent został Sadowskiego na środku alei.

Muzyka grała jakąś piłę z „Wdówki“. Sadowski usiadł na żelaznym krześle obok paralytyka, który patrzył na niego gasnącymi oczami. Sadowskiemu było niewyraźnie. Jakby zjadł coś niestrawnego, po czym musi być chory. Wdał się sam ze sobą w rozmowę tajemną i tłómaczył się, że, oprócz wycieczek wiedeńskich i ciągłego przebywania z Amą, właściwie nic na nim nadzwyczajnego nie ciąży.

— I to nie jest nadzwyczajne. W Krynicy tak samo *asystuję* damom. Rozjeżdżamy się potem każde w swoją stronę, choć cza-

sem na Michasiowej dalej się zajdzie, niż tutaj z Amą. I potem jedna, druga kartka i szlus. Spotkam na ulicy, chapeau bas, to jest wedle tego, czy warta, czy nie warta. Tutaj tak samo.

Muzyka grać przestała. Wodotrysk szemrał lekko. Cisza zaczynała panować dookoła.

— Szkoda, że tutaj niema Michasiowej...—zawirowało delikatnie w najtajniejszej skrytce Sadowskiego.

Otworzył oczy i starał się oprzytomnieć.

— To przez tego głupiego asystenta. Rozbudził we mnie zwierzątko. Niech go...

Mimowoli zaczął liczyć ni stąd, ni zowąd, ile to już flaszek Frauenmilchu poszło.

— Jedenaście... daję słowo honoru. Nie żałuję. O, nie jestem skąpy... ale jedenaście. I gdyby choć całą wypić, ale zawsze połowa zostaje. Nie wypada mi się spytać, czy niema pół butelki. Zwłaszcza, że jest w niej delikatność niezwykła. Wczoraj, gdy wychodziłem z nią z restauracji, chciałem kupić od przekupnia kilka róż. Zażądał, widząc mnie z kobietą, rzeczywiście bajońskiej sumy. Ona natychmiast z dziwną słodyczą powstrzymała mnie od tego wydatku. Prawda... że wróciliśmy do zakładu fiakrem zamiast koleją. Sama tego zażądała. Mówiła, że lęka się, czy przesiadanie się dwukrotne na stacyach nie szkodzi mi. Fiakier kosztował czternaście guldenów. Taki Bratfisch... To nie byle co. Ona z pewnością nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, ile to będzie kosztować. Tak jak z wina. Bardzo delikatna. W teatrze nie chce łoży. Woli fotele. Subtelna i słodka.

Mimowoli zaczął liczyć, ile jeszcze posiada pieniędzy. Pomimo delikatności Amy, przecież wydawał o wiele więcej, niż przypuszczał, że wyda, jadąc na kurację. I doznał jakby jakiegoś skurczu. Długie lata był przyzwyczajony do obrachunku ze swą rentą niewielką i skurczoną.

Śmierć matki i pozostawiona przez nią „realność“ wyzwoliła go z drobnostkowej troski. Lecz realność owa była głównie wartościowa przez place, a te wzrastały w cenę przez „przetrzymanie“ chytre i uparte. O tem

Sadowski wiedział, i to głównie przeprowadzić z samym sobą pragnął. Nędzny stan zdrowia, upadek sił, ta jakaś tajemnicza niemoc, która go trawiła, przed którą miał wielki szacunek i trwogę, skłoniła go do sprzedania maleńkiej parcelki.

Uczył to po wielkich wahaniach i bezsennych nocach. Wreszcie, zdecydowawszy się, doznał jakby wydostania się na jakieś pustkowie, gdzie czekali na niego ukryci po jamach złoczyńcy. Jedna parcela mogła pójść za drugą, powlec się całym pasmem.

A wtedy...

I tu było podłoże owego skurczu, który gdzieś w głębi Sadowskiego odezwał się na myśl owych jedenastu butelek Liebfrauenmilchu, fiakra i rozmaitych innych „nie liczących się“ wydatków, które powodowała w nim rycerskość dla kobiety z twarzą pre-rafaelistycznej madonny, z głową okrytą białą gazą i z przeszłością słodkiej ofiary, która nawet była bita.

— I gdyby choć co za to...—już teraz zupełnie wyraźnie przemknęło przez głowę Sadowskiego. Nie odrzucił tej myśli, tak jak poprzednio.

— Bo rzeczywiście... żeby choć pocałować. Takie ma delikatne gładkie usta, troszkę wilgotne. Żeby tak w te usta... raz jeden... To przecież można i z taką, co warta. To jej przecież nie obniży.

Zaskrzypiało na piasku. Służący zakładowy odwoził do pawilonu paralytyka w wózku. Sadowski powlókł za nim oczami.

— Tabetyk... okropne...—pomyślał—gdyby na mnie coś takiego przyszło, odebrałbym sobie życie. Straszne...

Zamknął oczy i znów chciał myśleć o Amie, ale nie mógł. Widmo tabetyka przejęło go mrowiem.

— Pójdę, poszukam jej. Ona ma dar odpędzania ode mnie tych mar. Pojedziemy do Wiednia, do Prateru. Niech tam, będzie dwunasta butelka Liebfrauenmilchu... trudno. Nie mogę tu siedzieć sam z myślą, że...

Nie dokończył nawet. Ciągłe w oczach mlał zagaste spojrzenie chorego i w uszach skrzyp tragiczny jego wózka, który, jak karawan, suwał się po żółtej wstędze alei.

I znów pojechali.

(DCN)



ŚMIERĆ

Z wystawy „Zera” w Krakowie.

JACEK MALCZEWSKI

BOLESŁAW PRUS:

DZIECI

POWIEŚĆ

44)

Teraz zbliżył się do nich ogromny człowiek w burce; miał w rękach karabinek, a przy szerokim pasie dwa brauningi.

— To jestem ja, naczelniku... Zajączkowski, kapitan... Przypomina mnie pan sobie?... A to moi oficerowie: porucznik Gorczyca...

— Chrzanowski?... — szepnął Kazimierz.

— Podporucznik Szczurek... i mój adjutant... Adjutant!... psia twoja mać... do nogi! Teraz nazywa się Monopolka, dawniej zwał się inaczej...

— Starka?... — rzekł zdumiony Świrski. — Ale też... pan kapitan nie robisz sobie ceremonii ze swymi oficerami...

— Jak z którym... jak z kim!... — odparł Zajączkowski. — Gdybym ja się do nich perfumował wodą kolońską i nie trzymał draniów ostro, jużby wszyscy wisieli... Co nas i tak nie minie...

— No, zaraz kapitan wpada na smutne myśli... — wtrącił Lisowski.

— Wcale nie smutne!... Ale sam zobaczysz, że spotkamy się z kulą, albo ze szpagatem... Pał dyabli!... my jużemy na to przeznaczeni, byle innym po nas było dobrze.

A jeść u pana naczelnika nie dostaniemy?... — zwrócił się Zajączkowski do Świrskiego.

— Gospodynią i właścicielką jest tu szanowna pani Linowska... — rzekł Świrski.

— A wiem!... — wtrącił Zajączkowski. — Żona burżuja, co do Hut Żelaznych przewiózł taką kupę pieniędzy, że nam wystarczyłoby na pół roku...

— Oboje państwo Linowscy bardzo zacni, bardzo uczciwi ludzie... — rzekł Świrski.

— Nam wszystko jedno!... Gdyby to nie byli rodzice małego Linowskiego, którego lubią moi oficerowie, i gdyby starzy burżuje nie przyjęli gościnnie naczelnika, byłby tu fajer!... Cóż, nie da nam pani Linowska jeść?...

— Ależ proszę!... — odezwała się Linowska. — Jedzcie panowie, pijcie... cała szpizarnia na wasze rozkazy...

— Wódka jest?... — po raz pierwszy odezwał się milczący dotychczas Starka.

— Wódka... miód... nalewki... wędliny... Wejdźcie panowie do domu...

— Oficerowie ze mną!... — komenderował Zajączkowski. — Żołnierzom wynieść na dziedziniec, a kiedy najedzą się, zmienić war-

ty i tamtych nakarmić... Chodźta, chłopcy... chodź, naczelniku Świrski... Ehe! i sikorka z nami?... Niczego, widzę, dziewczuszka...

— To moja kuzynka, panna Jadwiga... — pośpiesznie odezwał się Świrski.

— Niechże nam da kolację, jeżeli nie chce czego innego...

Weszli w pięciu do kancelaryi, potem do jadalni, gdzie zapłakane i rozdrażnione dziewczęta przyniosły kilka flaszek, tudzież stos kiełbas, kiszek i salcesonów.

— Baby siądą przy nas — dysponowa. Zajączkowski — bo teraz po dziedzincu szwędac się nie warto... Żołnierz wyposzczony, to jak wilk na Gromniczną... W twoje ręce, panie naczelniku!... — zawołał, wypijając kielich wódki do Świrskiego.

— Jaki ja tam naczelnik!... — mruknął Świrski.

— Ha!... ha!... a nie pamiętasz to, jakęś nas musztrował, jakęś uczył?... Ja na szubienicy jeszcze będę ci wdzięczny za twoje wykłady... Pamiętasz, jakęś mówił: tylko ten może rozkazywać innym, kto nie lęka się śmierci... Ten jest komendant, ten jest pan... A we mnie, kiedym to usłyszał, serce: puk!...



HISZPANKA (p. Solska w roli Infantki)

Z wystawy „Zera” w Krakowie.

WOJCIECH KOSSAK

puk!... Bo ja nigdy nie bałem się śmierci, ale dopiero po twoich naukach zrozumiałem, że na to stworzony, ażeby komenderować innymi... Patrzajcie-no!... ten hycel Monopolka już trzeci kielich smoli...

— Bo nie mam szklanki... — mruknął ponuro Starka.—Położył ciężko pięść na stole i z pod brwi zmarszczonych patrzył na Świrskiego.—Ten zawsze elegant... zawsze chce przewodzić!...

— Mój drogi, ani myślę o przewodzeniu... odstępuję ci wszelkie prawa...—odrzekł Kazimierz.

— Nie swarz się, Monopolka!... pij ze mną!... — wołał Zajączkowski.—Niech tu przyjdzie Kot i Dziewiątka ze dworu!... Choć to proste żołdacy, ale tęgie chłopcy... mogą wypić kwartę i nie upiją się!... Adjutant!... sprowadź ich tu...

Starka wybiegł i po chwili sprowadził dwóch wezwanych, z których jeden był garbaty, a drugi miał duże wąsy i bystre oczy. Gdy, ukłoniwszy się Zajączkowskiemu, usiedli przy stole i zaczęli pić na wspólną z kapitanem i jego adjutantem, panie wyszły, a Świrski z Chrzanowskim i Lisowskim usu-

nęli się w drugi koniec pokoju i tam, gryząc kielbasę i popijając herbatą, zaczęli rozmawiać półgłosem. Czterej goście przy głównym stole nie zważali na nich, zajęci doskonałymi nalewkami i huczną gawędą, w której było więcej wymysłów, aniżeli sensu.

— Więc, moi drodzy, co się z wami dzieje?... co znaczą te stopnie oficerskie?... — zapytał Świrski.

Odpowiedział mu Lisowski, że, ponieważ są ścigani przez policję i ponieważ Zajączkowski bodaj-że ocalił ich od śmierci, więc trochę przez wdzięczność, a bardziej z musu, zaciągnęli się do partyi.

— I rozbijacie... na spółkę z nimi?... — przerwał Świrski.

— Wcale nie—rzekł Chrzanowski.—Nasz kapitan ma tyle delikatności, pomimo nieustannych wymyślań wszystkim, że podczas swoich niekonicznie... rycerskich wypraw wysłał nas na zwiady. To też ja jeszcze ani razu nie strzelałem, a Lisek wprawdzie kilka razy huknął, ale w górę, dla wypróbowania brauninga.

— A Starka?...

Chrzanowski niechętnie wzruszył ramionami i mrugnął.

— Dobrze—mówił Świrski—ale do czego to wszystko prowadzi?...

— No, już o to nie powinienbyś pytać—wtrącił Lisowski.—W Rosji aż kipi rewolucja... już mają dwieście tysięcy karabinów i miliony ładunków, i tylko patrzeć, jak stamtąd napłyną do nas oddziały.. Wówczas ruszy się wojsko, a nasi dzisiejsi partyzanci...

— Bandyci—szepnął Świrski...

— Przypuśćmy... Jednak wówczas staną się regularnymi żołnierzami.

— A któż wam mówił o tych rosyjskich legionach, które niby do nas idą?

— Kto?... — zawołał zdziwiony Lisowski — naturalnie Iwanow... Nie znasz Iwanowa?...

— On przed świętami nazywał się Vogiel—poinformował Chrzanowski.

— A czy on nie łże?... — zapytał Świrski.

— Dajże spokój!... bronił Lisowski. — Vogiel czy Iwanow zawsze to wielka figura... On mianował kapitanem Zajączkowskiego...

on nam dostarcza broni i amunicji... on wyznacza oddziałowi, co i kiedy ma atakować.

— I wy go słuchacie?...

— Za nieposłuszeństwo kula w łeb... Widywaliście już takie rzeczy...

W tej chwili wbiegł jeden z partyzantów, donosząc, że złapano jakiegoś podejrzanego człowieka, a jednocześnie przyszła Linowska z prośbą do Zajązkowskiego, ażeby uwolnił Kobielaka.

— To znajomy nasz gospodarz—mówiła—podobno ma list do pana Świrskiego...

— Dać go tu!...—rzekł przywódca.

Wszedł Kobielak, powiedział, że przyjeżdża z Żelaznych Hut i że ma kartkę od kasyera. Kartkę tą wziął do rąk Starka i przeczytał:

„Specjalny oddział policji i kozaków szuka pana Kazimierza. Jutro będą w Leśniczówce“.

— Pan Kazimierz musi natychmiast jechać do Grudy—rzęła Linowska. — Jeszcze się przemknie...

— Niech jedzie, gdzie chce... — rzekł Zajązkowski.

— Ależ, naczelniku—odezwał się gniewnie Starka—jeżeli koledzy Świrskiego mogą służyć pod pańskimi rozkazami, to i on...

— Stul pysk, Monopolka... pod ławę!... — huknął Zajązkowski, uderzając pięścią w stół. — Pan Świrski pojedzie, gdzie chce, a my odprowadzimy go, gdzie nam każe.

Świrski spojrzał na Linowską, na Chrzastowskiego i Lisowskiego, pomyślał i rzekł:

— Idę z wami...

— Panie Kazimierzu... — zawołała Linowska, składając ręce. — Panie Kazimierzu... co pan robi?... Przecież umowa z Dębowskim... pańskie słowo...

— Idę z wami...—powtórzył Świrski do Zajązkowskiego.—Nie mogę opuścić kolegów ani narażać tych, którzy mi dobrze robią...

Ucałował obie ręce Linowskiej i pobiegł na górę upakować swój raniec.

Zajązkowski podniósł się, kilka razy, niby kapelmajster, machnął ręką, a po chwili sześć męskich, niezbyt dobranych głosów zaśpiewało:

Wstańmy, bracia, wraz, ilu jest tu nas...

Wstańmy, bracia, wraz, ilu jest tu nas!...

Zróbmy przyjacielskie koło i zaśpiewajmy wesoło, Póki jeszcze czas...

Póki jeszcze czas!...

Ta pobudka, odśpiewana w takich warunkach, wydała się Linowskiej świętokradztwem.

Do pokoju wbiegł kilkunastoletni chłopak, w którym Linowska poznała owego Staśka, co to udawał sierotę i parobków częstował wódką.

— Dajcie co zjeść!... — zawołał chłopak.—Kozaki i strażniki już we wsi...

Zajązkowski i jego towarzysze wbiegli na dziedziniec. Rozległo się gwizdanie, tupot nóg, szmer głosów... Linowska stanęła na ganku i wśród nocnej ciemności dostrzegła wysoki cień, który krył się od blasku, padającego z okien.

— Panie Kazimierzu—zawołała—panie Kazimierzu!... zastanów się, co robisz?...

Cień zniknął, i tylko słychać było prędkie skrzypienie śniegu.

— Panie Kazimierzu!... na jedno słowo... na chwilę!...

— Do szeregu!... — zawołał bas.—Do szeregu i maaarsz!...

W parę minut wszystko ucichło. Drżąca ze wzruszenia Linowska powróciła do pokoju i znalazła Jadwigę, która, oparłszy głowę na stole, zasłoniła twarz rękoma.

— Co on zrobił?... co on zrobił?... Boże, zmiłuj się nad nami!—biadała Linowska.

Odpowiedział jej cichy płacz.

(DCN)



A. NOWACZYŃSKI:

WYSTAWA FRANKO-BRYTAŃSKA.

W kilka zaledwie miesięcy po kordylnym *rendez-vous* Johna Bulla z mamselle Maryanną stało się, co się stać musiało, urodziło się małe Baby, zdrowe, białe, tegie, ciekawe i hałaśliwe

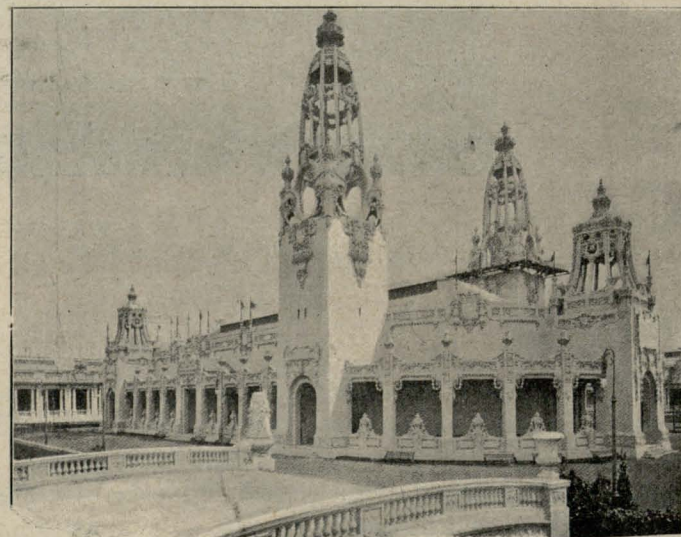
szczególnie wieczorami. Umieszczono je na dużych ławkach na samym Zachodzie Londynu w higienicznej dzielnicy Shepherds-Bush, nazwano zdrobniale: Exhibition i pozwolono je za różnemi „zniżkami“ oglądać myślącym i bezmyślnym gapiom z obu półkul świata. Interes jest doskonały wyjątkowo: przynosi 12% dywidendy wesołym akcyonaryuszom. Przeciętnie do trzystu tysięcy infusoriów ludzkich ogląda dziennie ten owoc nowego zapomnienia się msle Maryanny, która po Cuszimie i Laojanie zaczęła nieco lekceważyć łody i bicepsy swego poprzedniego Apasza i kilku kokietliwymi grymasami, zgrabnym odsłanianiem swoich paryskich batystowych dessous doprowadziła wreszcie John Bulla do: Exhibicji.

Prasa polska mało pisze o anglo-francuskim kiermaszu tegorocznym, albowiem prasa niemiecka

mało o nim opowiada głównie z tego powodu, że wystawa, aczkolwiek żadnym szpicem czy demonstracją, czy rozmyślnością nie jest zwróconą przeciw Niemcom bezpośrednio, to jednakże pośrednio daje starej pomywaczce Germanii i rozzuchwalonemu parobasowi Michelowi mocne moralne szczutki w nos. I w tem największy urok tego popisu anglo-francuskiego, że wykluczono zeń tandetny styl przemysłowy, *made in Germany* i pokazano ludziom, że pół globu przecież należy do dwóch najcywilizowańszych nacyi świata.

Dzień w dzień wielkie wycieczki francuskie przepływają sobie ten Kanał, pod którym oddawna już szłyby pociągi spacerowe i towarowe, gdyby nie angielskie obawy przed inwazyją filozoficznie motywujących swoje złodziejstwa rozbójników prusackich; do pół miliona Francuzów zwiędziło już białe miasto, między nimi i wielka partya *głuchoniemych* i jeszcze większa *jednonogich!* (sic) pod mr. Rosiną managerem. Niestety, plac pod wystawę wynajęty jest na lat dziesięć przez sprytnych przedsiębiorców panów Kiralfy i musi się im opłacać. I dlatego prawdopodobnie dojdzie do skutku proponowany przez literata Artura W. A. Becketta plan Wystawy pangermańskiej, w której wezmą udział oczywiście i sprusaczące Niemcy, z pośpieszną ochotą się garnąc, niepomne tegorocznego afrontu, zawsze bezczelne wobec słabszych ale zawsze nadskakujące, pochlebne i uniożone wobec potężnych; prawdziwe Bülow-Deutschland dzisiejsze.

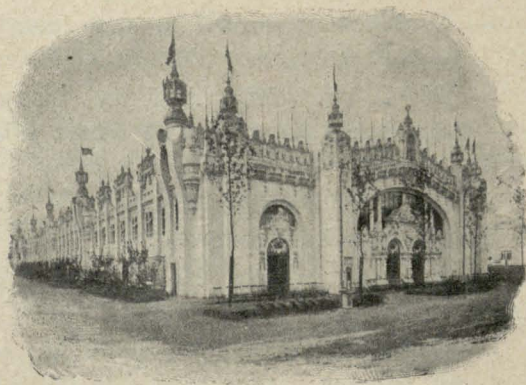
Kilkanaście prowizorycznych, ale alhambrycznych pałaców półbarokowych, półorientalnych, gdzieś tam maurytańskich, a tam bombonierowopompadourów rozsiadło się wśród rabatów i kwia-



Pawilon pracy kobiecej.

tów. Wokół nich olbrzymie halle z frontonami to meczetowymi, to całkiem fantazyjnymi kryją w sobie niezmierzone bogactwa kolonii, tych gąbek wysysanych przez mózgi z dwóch metropolji, a wysysających wzajemnie energie suwerennych swych państw. Zwiedzać tego wszystkiego pedantycznie nie można i nie trzeba.

Jeżeli się nie chce iść śladem mobu snobiego, depącego w stadach ciżbowych od portalu do portalu, przeganiającego się po hallach i tłoczącego przy co-głupszych i co mniej wartościowych, *byle automatycznie obracających się* mechanizmach i faramuszkach, to trzeba w sobie wyrobić stoicyzm zrzeknięcia się pewnych światów, powiedzenia sobie: gwizdę na pawilon z konserwami, halla Nowej Zelandji obchodzi mnie tyle, co zeszłoroczny śnieg, lukrowy pałacyk firmy Moet i Chandon jest do mojego portfela niewymiernym, do domku, w którym robią na poczekaniu czekoladki z jakiegoś obrzydłego błota w kadziach,



Pawilon maszyn



Noc na wystawie anglo-francuskiej.

nie pójdę, ponieważ jest tam dwadzieścia first class—urody kuszących dziewczątek; i kwita.

I wtedy wolnym krokiem flegmatycznego stoika idę przede wszystkim na: Flip-Flap; i robię dobrze. Albowiem wówczas to wszystko, co przy pierwszym wejściu „w podwórzu uroczyste” blaskiem swym, bogactwem, przepychem i wytwornością oszołomiło i prawdę powiedziawszy ogłupiło, teraz oto z wysokości powoli jadącego w górę aż ku stukilkudziesięciu metrom Flip-Flapu wydaje się mrówczo maleńkim, mikroskopijnym, pigmejskim, wprost rozrzewniającym śmiesznie: ot jak to sobie tam, w dole budują białe domeczki z kart te... Liliputy... patrz, Guliwerze, jak ten ogrom bogactw i pracy przedstawia się przelatującej jaskółce i mewie... patrz, jak pchło, *à la lettre* pchło wygląda ta czarna grupka z czerwoną ufraczoną służbą w tyle, ta Queen Aleksandra i ta duchess of Argyll i ta księżna Sutherland i ta lady Devonshire i ta lady Derby i ta countes Cadogun, te z dołu, z równia tak upokarzająco imponujące damy tak wyrafinowane stare, tak bajecznie niedbale wystrojone, tak przearystokratyznione w każdym calu, te córki modelów Romneya, Gainsborougha, Reynoldsa, Leightona...

I dopiero po zejściu z jednej z tych dwóch londyńskich *ruchomych wież* Eiffla, po opuszczeniu opuszczającego się zwolna ku ziemi powrotnie Flip-Flapu, zwiedza się już spokojnie, indywidualnie tylko—interesujące kramnice, budki, pawilony.

Halla maszyn nie może być nieciekawą tu, w ojczyźnie wszelkiej mechaniki, pierwszej lokomotywy, pierwszej śruby okrętowej, pierwszych plugów parowych. Pawilon pracy kobiet nie może nie interesować, jeżeli się miało oczy i widziało tyle cudnych, to rozkwitających, to wędniących twarzą po kancelaryach, po kantorach, po biurach, jeżeli się widziało znowu w pawilonie Edukacji, jak wysoko stoi kształcenie kobiet w przeróżnych Ladies-Colleges, w Newham, w Sommerville-Hall, w Lady-Margarets Hall, w Girton, w Medical school for women, jeżeli się wie, ile to panieniek młodziutkich ma tytuł B. A. (baccalaureus Artis) lub tytuł doktorski, jeżeli się wie, że związek sufrażystek liczy w samym Londynie przeszło 30,000 inteligentnych członkiń, jeżeli się zna z legend

czyją i wykończeniem wytwornem. Ale w tym też pawilonie przypomina się pawilon inny, w którym stały do wyścigu doskonałości najlepsze firmy krawiectwa damskiego, paryskie i londyńskie. I tu pióro odmawia subordynacyi.

Przychodzi się tylko do przekonania, że o tych niebiańskich, feerycznych kreacjach Redferna czy Goodman-Davisa, o tych symfoniach jedwabiu, koronek, piór, dżetów, pluszy, crep de chine, woali, o tych wirtuozowsko komponowanych tonacjach barw i linearnych pomysłach, powinno się pisać takie referaty, essaye, czy studia krytyczne, jak o wszelkich innych dziełach sztuki. Na seryo.

I tylko temi sukniami damskimi zaimponowała na tej wystawie Francya, i jeszcze co prawda potęgą swych winiarń; brakło trzeciej siły, pieniącej się szampańsko chansonetki; w tych trzech magicznych słowach bowiem: winko, kobietka i piosenka, streszcza się cały dziś urok Rplitej. Sądząc potem, co wystawiła w Londynie, wysilając się przeciw do reprezentacyi, można przyjąć do jednego rezultatu, t. j. że tak w *sztuce, jak w przemyśle*, stoi od Anglii o wielkich kilka stopni niżej. Wystarczy porównać modele przepotężnych, przepięknych krążowników kolosów, jak: Dreadnought, Lusitania, St. Vincent, z chlubami floty francuskiej, wystarczy przyrzeć się wytwornie spokojnemu meblarstwu angielskiemu, a linearnie wynaturzonym i nielogicznym nowym meblom francuskich firm, wystarczy oglądać wyzywające, zgrymaszone i kapryśnetypty sztuki stosowanej (prócz złotniczej) z Paryża, a solidne, skoncentrowane, ciche w kolorze objects Albionu.

Najpiękniejsze książki francuskie wyglądają tylko kokieteryjnie wobec feudalnych archidzieł z Kelmscott-Press, lub z nieśmiertelnej oficyny: Morris, Marchall, Faulkner et Comp. Nie wspominać już o takich łodziach podwodnych, ni o jachtach, o elektrycznych motorach, o przedmiotach sportu, przyborach wojażowych, których wykwiłta solidarność jest istotnie *non plus ultra* i które francuska praca ledwie kopiuje poprawnie, a niemiecka tandetnie w szczegółach okrada i, nalepiąc angielskie etykiety, oszukańczo Murzynom, Abissyńczykom i Polakom sprzedaje. Ale już naj-

i opowieści takie mocne typy kobiet angielskich, jak niezgasłej pamięci lady Hamilton, jak filantropka lady Bourdet-Coutss, jak Margereta Browning, jak Ouida, lub jak dziś żyjąca socjal-rewolucyjna agitatorka, milionowa lady Warwick...

Nie wstydziły się tu angielskie niewiasty pochwalić wszystkim, co się tyczy dziecka, kuchni, gospodarstwa, szpizarni, piwniczki i sypialni, no i „gotowalni”; ale znowu gobeliny i książki, zabawki artystyczne i szpitalne przybory, z pod rączek kobiecych wyszły, przeszły wszystko swą pre-

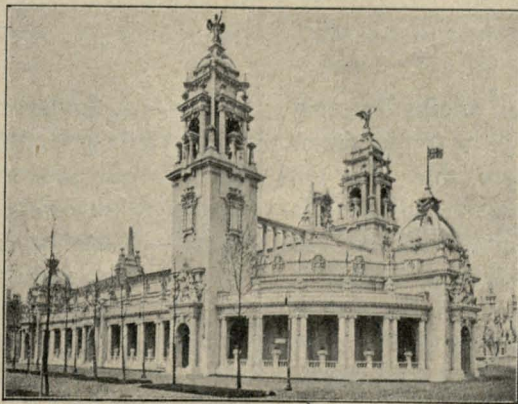
silniejszych dezilluzji co do Francji i jej geniuszu twórczego doznaje się w wielkim pałacu: „Fine Art”, gdzie w dwudziestu kilku salach zebrano z publicznych i z prywatnych zbiorów obu państw sto lat malarstwa angielskiego i sto lat francuskiego. Są tu i Aman-Jean i Bastien-Lepage i Constant i Berton i Besnard i Blanche i Bonnat i Breton i Busson i tak idąc katalogiem wszystkie najbardziej znane i najbardziej okrzywane firmy wszystkich kierunków i izmów.

Ale, gdyby mi się nowoczesny jaki Omar plomienio-głodzien (niszczyciel biblioteki aleksandryjskiej) spytał o radę, co spalić, a co ocalić, rzekłbym bez wahania: Spal, Kalifie, lewą francuską stronę Pałacu (prócz rzeźby) byleś ocalił: 5 Turne-rów, 5 Gainsboroughów, 5 Constabli, 5 Lawrenców, 5 Millaysów, 5 Reynoldsów, 5 Romneyów, 5 Wattsów, 5 Raeburnów, 5 Solomonów, 5 Rosettich, 5 Burne-Jonesów i 5 Madox-Brownów, a Sztuka mistrzów niepojętych, cudotwórczych, królów bez ziemi a stwórców nowych globów barwnych i nowych atmosfer niebiańskich, Ars Archangelica byłaby ocaloną!...

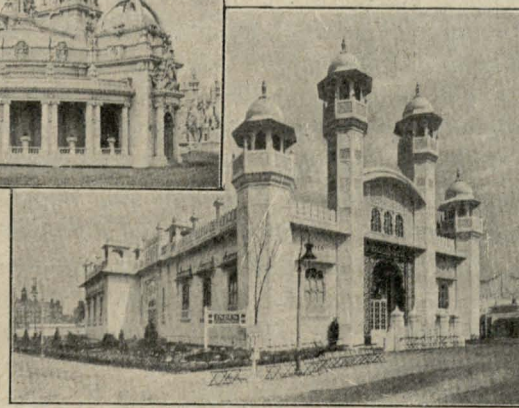
Jest na wystawie franko-brytańskiej jeszcze kilka drobnotek, które warto obejrzeć; ot taki Stadion, na 100,000 twarzy ludzkich obliczony, w którym odbywały się wyścigi i biegi Maratońskie. Ot takie pawilony: Hong-Kongu lub Australii, t. j. córki W. Brytanii, ostatnio nieco podejrzenie się prowadzącej i dążącej do emancypacyi z pod patronatu macierzy Wielkiej Brytanii. Jest Algier i Marocco, niby wierne poddane Republiki, jest niezwykle uroczy pawilon Dajly-Majla, w którym pismo to na najnowszego systemu maszynach rotacyjnych w pół milionku egzemplarzy chyżo się drukuje.

Są bardzo szykowne indyjskie pagody, w których francuskie, to angielskie orkiestry wojskowe grają głównie dwóch kompozytorów: Wagnera i... Lehara i gdzie wokół można spotykać egzemplarze ludzkie wszystkich ras i wszystkich kontynentów.

I jest pałacyk Royal-klubu, gdzie, o ile się do klubu... należy (co jest połączone z pewnym



Pawilon sztuki stosowanej.



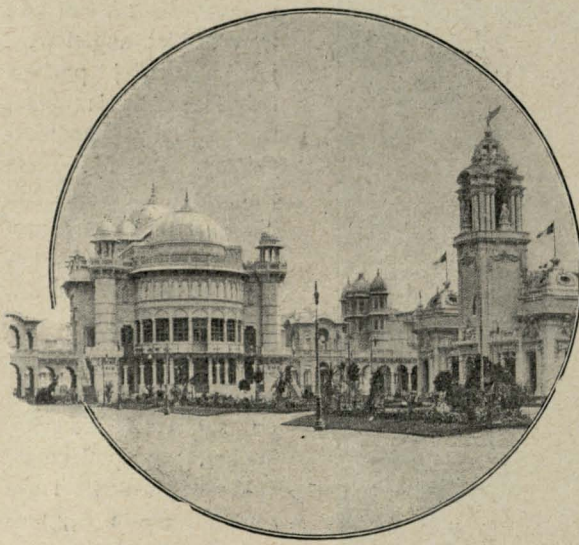
Pawilon Indyi brytańskich.

kosztem i ze zniechęcającymi formalnościami) można spokojnie wypić butelkę Marsali za dwa funcki i wypalić Hawanę za 5 szyllów; za sąsiadów ma się wtedy np. His Grace Bundschitt-Singha raję Lahory z His Grace maharadzą Radżputany, po prawej kilku dandysów murzyńskich z wysokim, chudym duke of Marmelade (dosłownie) z wyspy Haiti, po lewej zaś right honourable sir Thanakarineh, gentlemen o orlim nosie, długich czarnych włosach pod cylindrem i szykownych dużych złotych obręczach w uszach... Jest to wódz „ostatniego” plemienia Mohikanów... przyjechał przez „wielką wodę”, żeby zobaczyć Ekshibiszen

„białych twarzy” i wypalić „fajkę pokoju” z... szefem III sekcji II departamentu ministerium spraw wewnętrznych: *Dominium Kanada*... Wspaniały niegdyś i potężny jego naród wybito do nogi... również jak bawoły buffony... obecnie na oba gatunki wymierające nie wolno już polować... pod bardzo surowymi karami...

I jeszcze o tem *dominium Kanada* wypada mi tu wspomnieć, pomijając bezstawnem przemilczeniem opis dużej „wsi irlandzkiej” Ballymacintown, dziwnie wywołującej cierpko-gorzkie analogie za każdym stąpieniem, tej wsi irlandzkiej, która na cały mój entuzjazm dla półbożkiej rasy *the first country of the world* działa paraliżująco i w jednym momencie hyperchwałcę zdolnaby zmienić w oberprokuratora.

Kanado! Kanado! Ziemi, po której dziesięcioletnie chłopaczki z Polski, przeczytawczy moc małych czarodziejskich książeczek, podróżowali swobodnie, jak po podwórzu, jak po swoim pokoju dziecięcym! Ziemi snów heroicznym, pionierów dzielnych! nieustraszonych eksploatatorów, misjonarzy rycerskich, awanturników ukochanych, ziemi walk zapamiętałych z „jeleniami sercami”, z „nidźwiedziem okiem”, z „byczym rogiem”, Ziemi wigwamów i tomahawków, borów nieprzejrzanych, kwietnych łąk milowych, Ziemi „kwiatów preryi”, nocami porywanych, ziemi dzielnych księży, szpetnie skalpowanych! ziemi o dobrze zapamiętanych ukochanych tkliwie nazwach: Ontario! Toronto! Manitoba! Winnipeg! Saskaczewan! Saskaczewan! Saskaczewan!... O jakżeś ty się zmieniła, dzika! romantyczna! tajemnicza Kanado, ojczyzno dziecięcych chłopięcych snów. I to w lat trzydzieści, trzydzieści! Koleje, kuryerskie pociągi, telegrafy, telefony, folwarki, fermy, miasta olbrzy-



Pawilon kongresu na wystawie anglo-francuskiej.

mie, asfalty, tramwaje, hotele, pług elektryczny!

Na niecałe siedem milionów mieszkańców pięć bogatych uniwersytetów: Toronto, Montreal, Kingstown Quebec, Guelph! 19,500 szkół elementarnych, 1,200,000 uczniów, 28,000 nauczycieli! najlepsze na świecie szkoły geologiczne! parlament, gabinet ministrów, z członków parlamentu wybierany! odpowiedzialny! akademія królewska! światowej sławy chemicy! dwa kluby literackie luksusowe! gazety, trzy razy na dzień wychodzące, domy 10-piętrowe! szpitale na parkach! czytelnie ludowe w stylu Tudorów! Toynbe-Halle! pałace ludowe! I to wszystko na przestrzeni *właśnie* tak poczwarnie rozległej, jak Carstwo Rosyjskie!... gdzie dwa dni jedzie się od miasta do miasta po rów-

nych stepowych polach... szumiących zbożem, kryjącym ludzi najwyższego wzrostu...

O Kanado! Kanado! niegdyś francuska, a w czas rządów kurtyzan Burbońskich odebrana przez silną rasę beefeatorów... zjadaczy wołów... championów kolonizowania!... Wychodziłem z pawilonu twego po sześciogodzinnym w nim pobycie, zmęczony śmiertelnie, błądy, zły... zawistny, jak szatan, zemsty chciwy jak rzetelny Saksenah! W trzydzieści tylko lat przesypał się całkiem piasek w klepsydrze! Teraz młode Kanadyjczyki, chłopcy z najlepszych szkół elementarnych świata, czytały anarchiczno-romantyczne opowiadki z naszych stepów... z naszych osad... o naszej dzikości, o naszym „skalpowaniu”... o naszych „białych twarzach”...

Wychodziłem z cywilizacyjnego opisu *dzikiej* indyjsko-romantycznej Kanady z żółcią i złością, z zimną, jak stał, oschłą i sztywną pogardą, tym podłym kruszcem, którego łatwo się dokopać u nas podobno...

Łatwo wam było cywilizować się, o Kanadyjczyki, nie przywiązany łańcuchami do opuchłego, żywcem gnijącego i zwolna rozpadającego się Polifema! łatwo kulturalnie protegowanym przez wszechpotężny, zdrowy naród, w którego Imperium słońce nigdy nie zachodzi i nie zajdzie... I w porę napłynęło mi w myśli to właśnie hasło, z którym zwolna, z roku na rok, z wieku na wiek rosła ta wszechpotęga Albionu, której dziś zdjęciem migawkowym była ta właśnie wystawa; hasło, obejmujące w sobie ukochanie całej choćby grzesznej przeszłości, a co więcej ukochanie nawet takiej teraźniejszości, jak nasza... polska... hasło, brzmiące rytmicznie i rozkazodawczo:

Right or wrong my country!

Praw czy niecy mój to li kraj!

WŁADYSŁAW ST. REYMONT:

CHŁOPI. LATO.

44

Głównie cisnęli się pod wielką karczmą, stojącą naprzeciw kancelaryi w kępie drzew, jakoby w tym gaju cienistym, tam się najskwapniej ciżbiąc, bo, chociaż chłodnawy wiaterek niezgorzej kolebał polami, jaże się rozdzwoniły dojrzewającymi kłosami, spieka jednak podnosiła się okruteczna, i tak dogrzewało, że już niejeden ledwie zipał i w piwie szedł szukać ochłody. Bez to i karczma była przepełniona, i pod drzewami stali kupami, gwarząc z cicha i deliberując nad ową nowiną, wraz też dając pilne baczenie na kancelaryę i na pisarzowe mieszkanie po drugiej stronie domu, kaj rwetes i krętanina były coraz większe.

Od czasu do czasu pisarzowa wytykała oknem spaśną gębę i krzyczała:

— Śpiesz się, Magdo! Ażebyś kulasy potłamała, tłumoku jeden!

Dziewka przelatywała co trochę przez pokoje, jaże dudniało i brzęczały szyby, jakieś dziecko jęło się wydierać wniebogłosy, kajś za domem gdakały wystraszone kury, a zaziąjany stójka jął ganiać kurczątką, rozpieczające po zbożach i drodze.

— Widzi mi się, co będą ugaszczali naczelnika—rzekł któryś.

— Pono wczoraj pisarz przywiózł cały półkoszek napitków.

— Schlają się, jak łoni.

— A bo to nie mogą, mało to im naród składa podatków, a przeciech nikto im na ręce nie patrzy — wyrzekł Mateusz, ale ktosik zakrzyczał:

— Cichojsza, strażniki ano przyszły.

— Jak wilki, się włóczą, że ni pomiar kować, kiedy i którądy.

Przycichli jednak trwożnie, gdyż strażnicy zasiedli pod kancelaryą, otoczeni przez kupę ludzi, między którymi był wójt, młynarz, a nieco zdala kręcił się kowal, pilnie nasłuchujący.

— Młynarz się łasi, kieby ten głodny pies!

— Bo, kogo się boja, ten mu najmilszy!

— Kiej są strażniki, to naczelnika ino patrzeć!—zawołał Grzela, wójtów brat, i odszedł na stronę, kaj stał Antek, Mateusz, Kłęb i Stacho Płozka, poredziwszy ze sobą, rozeszli się między ludzi, prawiąc im cosik a przekładając tak coś ważnego, że słuchali w wielkiej cichości, tylko niekiedy co tam ktoś westchnął, podrapał się fraszobliwie albo strzygnął ślepiami ku strażnikom, kupiąc się zarazem coraz ciałniej.

Antek, wsparty plecami o węgiel karczmy, gadał krótko, mocno i jakoby przykazując, zaś w drugiej kupie pod drzewami Mateusz prawił z takimi przekpinkami, jaże

ośmiał się niejeden, a w trzeciej gromadzie przy smętarzu Grzela przemawiał długo i tak mądrze, jakoby z otwartej książki czytał, że ciężko było wyrozumieć.

A wszyscy trzej przyniewalali do jednego: aby nie słuchać naczelnika ni tych, które z urzędami zawdy trzymają, i szkoły nie uchwalać.

Naród przysłuchiwał się w skupieniu i rozważał, kolebiąc się to w tę, to w drugą stronę, właśnie jako ten bór, kiej zamieśliwy wiaterek powieje.

Nikto głosu nie zabierał, kiwali jeno przytakując głowami, gdyż najgłupszy rozumiał, że z nowej szkoły tyła jeno będzie pociechy, co każą na nią płacić nowe podatki, a do tego nikomu się nie śpieszyło.

Niepokój jednak ogarniał gromadę, przestępowali z nogi na nogę, jęli chrząkać a pokastywać, niejeden skrobiąc się po głowie, a nikt jeszcze nie wiedział, co począć. Prawda, mądrze prawił Grzela, prosto do serca trafiał Antek, ale i strach było się przeciw naczelnikowi a zadierać z urzędami. Jeden oglądał się na drugiego, każdy się głowił z osobna, zaś wszystkie obzierały się na bogatszych, ale młynarz i co najpierwsi z drugich wsi trzymali się jakoś na uboczu, stojąc jakby z rozmysłem na oczach strażników i pisarza.

Podszedł do nich Antek z przełożeniem, ale młynarz odburknął:

— Kto ma rozum, ten sam wie, jak ma głosować—i odwrócił się do kowala, którego przyświadczał wszystkim, ale kręcił się niepokojnie między gromadą, przeważając, co się święci, a do pisarza zachodził, z młynarzem pogadywał, Grzelę częstował tytuniem i tak się tał ze swoimi zamysłami, że do końca nie było wiadomo, za kim trzyma.

Ale większość już się skłaniała głosować przeciw szkole, rozsypali się po placu i, nie bacząc na przypołudniony skwar, poredzali coraz gwarniej i hardziej, gdy pisarz zawołał przez okno:

— A pójdźno tu który!

Nikt się jeenak nie poruszył, jakby nie dosłyszeli.

— Niechno który skoczy do dworu po ryby, mieli rano jeszcze przysłać, a jakoś nie przysyłają! Tylko prędzej—grzmiał rozkazująco.

— Nie przyslim tu na posługi—ozwał się jakiś hardy głos.

— Niech sam leci, żal mu przetrząsnąć kałduna—zaśmiał się któryś, że to pisarz miał brzuch, kiej bęben.

Pisarz jeno zaklął, a po chwili wyszedł wójt od podwórza, przebrał się za karczmę i pognął tyłami wsi ku dworowi.

— Dzieci pani pisarzowej przewinął i obtarł, to się ździebko przewietrzy.

— Juści, pani pisarzowa nie lubi takich fetorów na pokojach.

— Pokróćce, to i porcenele wynosić mu każą—przekpiwali.

— Hale, że to dziedzica jeszcze nie wiadać—dziwował się któryś, ale na to rzekł kowal z chytrym prześmiejchem:

— Nie głupi się pokazywać!

Spojrzeni na niego pytająco.

— Juści, kto mu każe zadzierać z naczelnikiem, a przecież za szkołą głosować nie będzie, małoby to musiał płacić za nią! Mądrala!

— Ale ty, Michał, z nami trzymasz, co?—przytarł go natarczywie Mateusz.

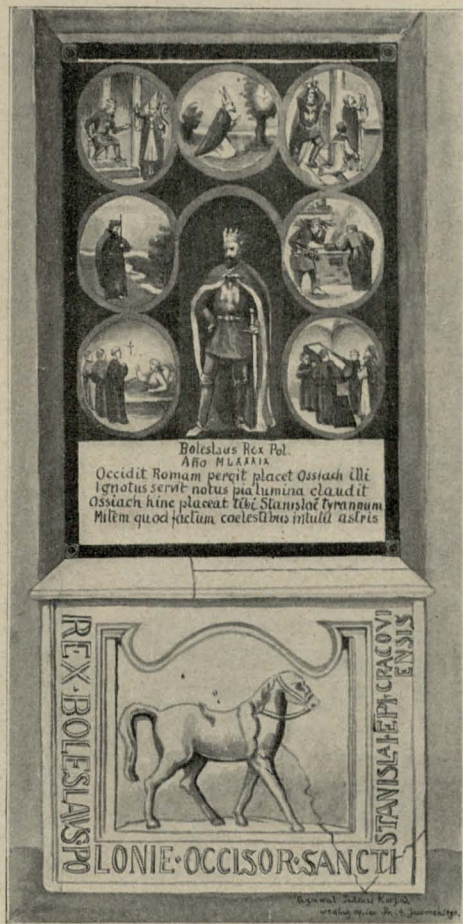
Kowal skręcił się, kiej przydeptana glista i, odmruknawszy cosik, jął się przeciskać do młynarza, którego przystąpił do chłopów i mówił do starego Płoszki, ale tak głośno, by i drugie słyszały:

— A ja wam radzę, głosujcie, jak chcą urzędy. Szkoła potrzebna i, żeby była najgorsza, to będzie lepsza od żadnej. A o jakiej zamyślacie, nie dadzą. Trudno, głową muru nie przebodzie. Nie zechcecie uchwalić, to i bez waszego przyzwolenstwa postawią.

— Jak nie damy pieniędzy, to za cóż postawią?—ozwał się któryś z kupy.

— Głupiś! Sami wezmą, a nie dasz z dobrej woli, to ci ostatnią krowę sprzedadzą, i jeszcze do kozy pójdiesz za opór! Rozumiesz! To nie z dziedzicem sprawa—zwrócił się do Lipczaków—z naczelnikiem niema żartów. Mówię wam, róbcie, co każą, i dziękujcie Bogu, że nie jest gorzej.

Przytwardzali mu tak samo myślące, zaś stary Płoszka po długim rozważaniu wyrzekł niespodzianie:



Płyta grobowa Bolesława Śmiałego na kościele od str. cmentarza w Osyaku. Rys. z nat. T. Korpala.

— Prawdę mówicie, a Rocho naród zbałamucił i do zguby popycha.

A na to wystąpił jakiś gospodarz z Przyłęka i powiedział głośno:

— Bo Rocho z panami trzyma i la tego podjudza przeciw urzędom!

Zakrzyczeli go ze wszystkich stron, ale chłop się nie ulęknął i, skoro się jeno przyciszyło, znowuj głos podniósł.

— A głupie mu pomagają! rzekłem!—potoczył mądrymi oczami—a komu to nie w smak, niech stanie, to mu w oczy przywtórzę, głupie! Bo nie wiedzą, iż zawdy tak było, że panowie się buntują, naród judzą, do nieszczęścia prowadzą, ale, jak przyjdzie za to płacić, to kto płaci? chłop! A jak wam kozaków po wsiach zakwaterują, to kto będzie brał baty? kto będzie cierpiał? kogo do kreminalu powleką? A jeno was, chłopów! Panowie się za wami nie upomną, nie, wyprą się wszystkiego, kiej Judasze, i jeszcze starszyznę będą ugaszczali po dworach.

— Bo co im ta naród znaczy, tyła żeby za nich gnaty wyciągał.



Widok Osyaku z jeziora.

— A żeby mogli, toby jutro wrócili pańszczyznę!—podniosły się wołania.

— Grzela powieca—zaczął znowu—niech uczą po naszymu, a nie chcą, to nie uchwałać szkoły, nie dawać ani grosza, przeciw się, a juści, tylko parobkowi łacno krzyknąć na gospodarza: robił nie będę, całuj me gdzieś, i uciec przed skarceniem. Ale naród nie ucieknie i za bunt kije wziąć weźmie, bo nikto drugi pleców za niego nie podstawi... To wama mówię, taniej wam wypadnie postawić szkołę, niżli przeciw się urzędom. A że po naszymu nie nauczają, prawda, ale i tak na Rusków nas nie przerobią, boć żaden ni pacierza, ni między sobą nie będzie mówił inaczej, a jeno jak go matka nauczyła! Zaś na ostatku to wam jeszcze rzeknę: swoją ano stronę trzymajmy! A drą się między sobą panowie, nie nasza sprawa, niech się ta kłyśnią i zagryzają, takie nam braty jedne i drugie, że niechta ich morówka nie minie.

Zwarli się kole niego gęstwą i zakrzyczeli, kiej na wściekłego psa, napróżno młynarz brał go w obronę, napróżno i poniektóre za nim się ujmowały. Grzelowe stronniki już mu zaczęły pięściami wytrząchać, że możeby i do czego gorszego doszło, ale stary Pryczek zakrzyczał:

— Strażniki słuchają!

Przycichło nagle, a stary wystąpił i jął prawie gniewnie:

— Świętą prawdę powiedział, swojego dobra patrzmy! Cichoja, hale powiedziałeś swoje, to daj i drugiemu rzecz swoje! Wydzierają się i myślą, co największe głowacz! Juści, żeby jeno w krzyku był rozum, to bele pyskacz miałby go więcej, niżli sam proboszcz! Prześmiewajta się, juchy, a ja wam rzeknę, jak bywało pod te roki, kiej się to panowie buntowały; dobrze baczę, jak nas tumanily a przysięgały, że, jak Polska będzie, to i wolę nam dadzą, i gronta z lasami, i wszystko! Obiecywały, mówiły, a cyśarz dał, co tera mamy, i jeszczek musiał ich za to pokarać, co nie chciały w niczem ulżyć narodowi! Słuchajta panów, kiedyśta głupie, ale mnie na plewy nie weźmie, wiem ja, co znaczy ta ich Polska: że to jeno bat na nasze plecy, pańszczyzna i uciemiężenie! Jeszcze me...

— A dajże mu ta który w pysk, niech przestanie—wyrwał się jakiś głos.

— A tera—ciągnął dalej—ja taki sam pan, jak inni, prawo swoje mam, i nikt me palcem tknąć nie śmie! Tam mi Polska, kaj mi dobrze, kaj mam...

Przerwały mu szydliwe głosy, bijące ze wszystkich stron, niby gradem:

— Świnia też pokwikuje z kurentności, a chwali se chliw i pełne koryto!

— I za to przykarmianie dostanie pałą w łeb i nożem po gardzieli!

— W jarmarek sprął go strażnik, to powieca, że nikto go tknąć nie śmie.

— Plecie, a tyle miarkuje, co ten koński ogon!

— Sielny pan, ma wolę, juści, wszygo same niesą po wolności!

— Rychtyk i wiechcie z butów tak samoby nauczały!

— Kury zmacać nie poredzi, a będzie tu występował! Gnojek jucha! Baran! (DCN)

Grób Bolesława Śmiałego.

W jednej z pogawędek kawiarnianych rozmowa, przewinawszy się przez astronomię, politykę i awiatykę, zeszła na historię. Ktoś wspominał o Bolesławie Śmiałym.

— Byłem właśnie w Osyaku i poznałem dość gruntownie epilog tragedii tego wielkiego króla—odezwał się na to znany w szerokich kołach Krakowa romanista i pedagog, prof. Aleksander Jaworski.

— Więc cóż tam jest? Jak wygląda? — zapytało naraz kilka głosów wśród których nie brakło i mojego.

Prof. Jaworski nie dał się długo prosić i rozpoczął opowiadanie, a raczej cały wykład, pełen szczegółów ciekawych, że postanowiłem je zapisać, aby podzielić się nimi z szerokim gronem czytelników *Tygodnika Ilustrowanego*.

Niedaleko Villach przy głównym trakcie kolejowym z Wiednia do Wenecji i Rzymu, leży na brzegu pięknego jeziora mała osada górską, licząca około 400 mieszkańców. Jest to dzisiejszy Osyak, którego ciekawą przeszłość przypomina jeszcze tylko starożytne zamczysko z kościołem, dawne opactwo benedyktyńskie, o którym wspominają już kroniki z początku XI wieku. W roku 1784 klasztor uległ kasacji, a ogromną jego i starożytną budowlę częścią zburzono, częścią zaś zamieniono na stację dla remontu wojskowych. Sam kościół, pierwotnie romański, później gotycki, a wreszcie barokowy, został zamknięty i byłby się niewątpliwie także rozsypał w gruzy, gdyby nie to, że kilkadziesiąt lat później w Osyaku utworzono samoistne probostwo, a proboszczowie pracowali usilnie nad odnowieniem i uporządkowaniem kościoła. Najwięcej zasłużył się w tym względzie obecny proboszcz Osyaku, ks. Wawrzyniec Franta, chociaż i ten także, pozbawiony pomocy ze strony swoich dawnych protektorów, musiał zawiesić szereg rozpoczętych już robót.

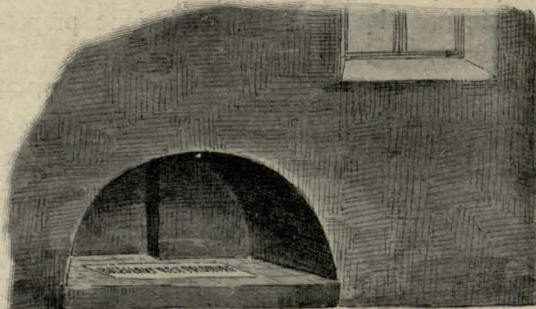
W tym to kościele w murze fundamentowym północnej ściany znajduje się grób Bolesława Śmiałego. Istnieje on tam od lat czterystu, t. j. od czasu wzniesienia obecnego kościoła na miejscu dawnego gotyckiego i romańskiego. Czy grób ten istniał także i w owym poprzednim kościele, nie wiadomo. Wprawdzie bowiem dominikanin Dombrowska (w. XV) pisze w uwagach do *Kroniki Kadłubka*, że na grobowcu króla Bolesława znajduje się napis: „Tu leży Bolesław, król polski, zabójca św. Stanisława, biskupa krakowskiego“, ale o położeniu grobu nie wspomina on zupełnie, a i napis ten nie jest zgodny z dzisiejszym i odnosi się zapewne do innego, wcześniejszego grobowca.

Sam grób znajduje się, jak wspominałem, w ścianie fundamentowej. We wnętrzu kościoła jest to półkuliściła nyża 1 m. wysoka, 2 m. długa, a 90 cm. szeroka, gładko bez wszelkich ozdób wytynkowana. Dnonyży stanowi płytę grobową,

położona na poziomie posadzki kościelnej, z napisem „Boleslaus Rex Poloniae“.

Na zewnętrznej stronie kościoła zamknięto otwór nyży pionowo stojącą płytą kamienną z płaskorzeźbą konia i napisem, nad płytą zaś, we framudze, sięgającej 50 cm. wgłąb muru, umieszczono obraz, malowany na drzewie, a przedstawiający sceny tragedii bolesławowskiej ze starym łacińskim czterowierszem u dołu. W r. 1839 otoczono zewnętrzny grobowiec kratą żelazną, zdobną w mosiężne lancy i napis „Sarmatis peregrinantis salus“, a ziemię za kratą wyłożono płytami kamiennymi.

Co się tyczy owego obrazu, to historia jego i pochodzenie także nie są dokładnie znane. Autor kroniki jubileuszowej opactwa benedyktyńskiego Wallner (w. XVII) wspomina w niej o tym obrazie z powodu ówczesnego jego odnowienia, nazywając go „tabula picta perantiqua“, „obraz malowany przestarzożytny“. Na początku ubiegłego wieku obraz ten już był tak zniszczony, że za staraniem hr. Izabelli Goess zdjęto zeń kopię, a oryginał umieszczono w kaplicy gotyckiej, gdzie znajduje się dotąd. Kopia wypadła bardzo nieszczególnie, a nie poprawił jej także malarz Daniszewski, który odnawiał ją w roku 1884 z polecenia krakowskiej Rady miejskiej. Treść obrazu, który dotychczas nigdzie jeszcze nie był reprodukowany, jest łatwo zrozumiała. W środku stoi Bolesław w stroju królewskim, nad nim św. Stanisław, klęczący przed zjawiającym mu się promienistym krzyżem. Obok mniejsze obrazki: św. Stanisław upomina Bolesława, zabójstwo biskupa, Bolesław, jako pielgrzym, posługi Bolesława w kuchni klasztornej, śmierć jego i pogrzeb. Umieszczony pod



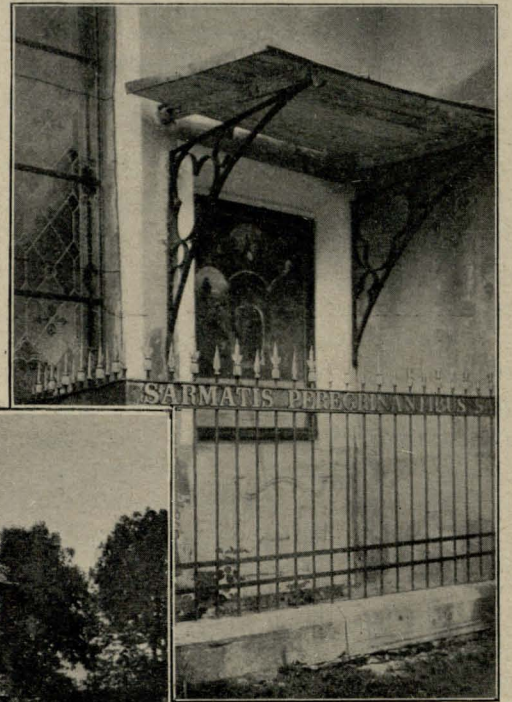
Nyża grobowa w kościele w Osyaku.

obrazem czterowiersz łaciński brzmi w dosłownym tłumaczeniu:

„Zabija, idzie do Rzymu, podoba mu się Osyak. Nieznany służy, poznany pobożnie oczy zamyka. Osyak niechże ci miłym będzie, Stanisławie, że tyrana skruszonego do niebieskich doprowadził gwiazd“.

Podobnie jak niejasne jest pochodzenie obrazu, tak niepewne też jest pochodzenie płyty nagrobkowej z koniem i napisem. Wiedeńska komisja centralna konserwatorów orzekła, że napis na płycie pochodzić może z XV w., rysunek zaś konia na płycie wskazuje, że jest ona wykopaliskiem z czasów rzymskich. Podobne bowiem płaskorzeźby konia z siodłem i uzdą bez jeźdźcy znajdowano w Karyntyi w miejscu dawnych osad rzymskich.

Cały zewnętrzny grobowiec osłonięty jest przed deszczem małym prymitywnym daszkiem, dzisiaj już bardzo zniszczonym, jak to widać na naszej rycinie. W samym kościele Bolesława Śmiałego przypominają jeszcze umieszczone nad oknami nawy w medalionach sepiowe malowidła,



Widok zewnętrzny grobowca od strony cmentarza.



Półn.-wschodni róg cmentarza z basztą w Osyaku. Fot. ks. Franta.

przedstawiające sceny z życia króla, tudzież duże okno witrażowe nad chórem z niemieckim napisem, które sprawił galicyjski wydział krajowy przed trzema laty.

Sam grób Bolesława otwierano w r. 1839. Z przekazanego protokołu tego otwarcia dowiadujemy się, że pod płytą kamienną w nyży znajduje się grób na 1 m. głęboki, starannie obmurowany, w którym w głowach znaleziono zgarniętych na kupę kilkanaście kości, wskazujących na mężczyznę rosnącego i silnego. Nadto znaleziono tam kilka żelaznych gwoździ najwidoczniej z trumny, tudzież 5 cm. długą sztabkę miedzianą ze śladami złocenia, zakończoną muszelkowatymi spłaszczeniami, która przypomina bardzo rzymską „fibulę“ i musiała służyć do tego samego, co ona, celu, t. j. do spinania płaszcza. Spinkę tę wówczas z grobu wyjęto i złożono w archiwum kościelnym, skąd zabrano ją podobno do skarbcza wawelskiego.

Uwagi godnym jest fakt, że wśród okolicznego ludu, wyłącznie niemieckiego, tradycja Bolesława jest żywa. Lud uważa go za świętego i modli się u jego grobu. Także i w literaturze, nie mówiąc o starych kronikach, które się, niestety, nie dochowały w całości, Bolesław stał się bohaterem wielu opowiadań, wierszy i poematów. Począwszy od wieku XVIII, kiedy to opat osyacki, ks. Vergiliusz Gleissenberg, napisał cały poemat o Bolesławie: „De Boleslao II. Rege Poloniae Ossiaci Penitente Libri VI. Poema“, aż do ostatnich czasów pojawiają się ciągle utwory poetyczne o Bolesławie. W r. b. wyszedł w Lipsku zbiorek poezji niejakiego Franza Cucagna, w którym znajduje się długi wiersz p. t. „Der stumme Büsser von Ossiach“. Także i obecny proboszcz Osyaku, ks. Franta, napisał kilkanaście felietonów i poezji, poświęconych Bolesławowi.

Wogóle ks. Franta krząta się gorliwie koło utrzymania i upiększenia naszego króla, ale, niestety, wszystkie jego starania, listy, petycje, odezwy nie dały dotychczas żadnych rezultatów. Dopiero teraz, po pobycie tam prof. Jaworskiego, który z dużą energią popiera usiłowania zacnego proboszcza, *Czas krakowski* zainicjował składki na pomniki bardziej godny wielkiego króla-pokutnika, niż owa zapleśniała od wilgoci, do połowy za ołtarzem schowana nyża. Potrzeba jednak, aby składki na ten piękny cel popłynęły obficie i rażno.

K. S.



Wnętrze kościoła w Osyaku.

Powązki.

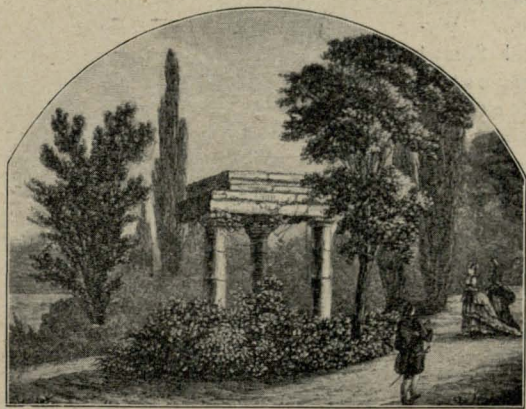
Dzisiejsze Powązki, przedstawiające wspólnie zacieniony park, z szerokimi ulicami i wyniosłymi pomnikami, nierzadko artystycznie wykończonymi, stanowiły w odległej przeszłości nędzną piaszczystą wiosczynę, później staraniem i pieczołowitością jednego z magnatów ponętą i gwarną letnią rezydencją, dalej ogród spacerowy, a w końcu... ciche, żałobne ustronie—cmentarz.

Szybko postępowały te zmiany; śmiech z płaczem graniczy. Zwykła historia w dziejach świata!...

Wioska, o której mowa, Powązkami zwana, w końcu XVI-go stulecia stanowiła sporny szmat ziemi, już to w rękach wójtostwa starego miasta, już to w rękach starosty.

Wydzierano ją sobie nawzajem, zmieniała właścicieli, w końcu niejaki Zimozarski, lekarz, otrzymał wieś Powązki w roku 1526, jako dożywocie za należne mu sto kóp groszy ze skarbu.

Czy wielką miał pociechę ze swej gospo-



Część parku.

darki—wątpię, gdyż, o ile wnosić można ze snopowego, wybieranego na dziesięciny, piaski, jak zawsze i wszędzie, tak i na Powązkach obficie rościć nie chciały.

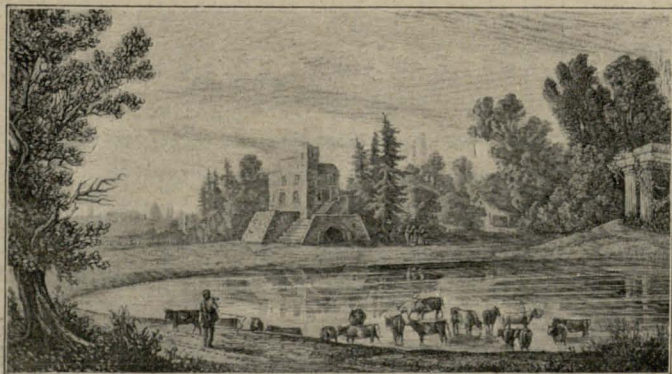
Biskupi poznańscy, do których dziesięcina z Powązek należała, rozdarowywali ją służbie swojej, ta zaś, by się uwolnić od zabiegów i kłopotów, sprzedawała swoje prawa osadnikom powązkowskim.

Szpital, mieszczący się ongi przy kościele św. Marcina w Warszawie, również czas jakiś gospodarzył na Powązkach, świadczą o tem akta z końca XVI-go wieku.

Dopiero od r. 1764 Powązki postać swą zmieniają i w przeciągu następnych lat trzydziestu przechodzą wszystkie fazy, o których wyżej była mowa.

Książę Czartoryski skupował liczne w tej stronie grunty, chcąc dla siebie i żony letnią zbudować rezydencję.

Pertraktacje rozpoczęły się w r. 1771, i po czterech latach książę stał się właścicielem Powązek i jej okolicy. Można się już było budować.



Staw. Rysunki L. Grabowskiego z r. 1868.

Najpierw założył więc ogród kwiatowy, gaj obszerny uporządkował, staw wyczyścił, a nad wodą wystawił chatkę z olszyny pod trzciniowym poszyciem.

Ówczesny budowniczy Jung, opisując ogrody warszawskie, szeroko rozpisuje się i o tem zaczarowanym ustroniu.

Zwykła na zewnątrz chatka w środku jaśniała wspaniałością i zbytkiem. Wytworne meble, obrazy, wreszcie ładna biblioteka zdobiły tę oryginalną chatkę.

Książki, bogato oprawne, nosiły po większej części litery pani i napis we francuskim języku „Bibliotèque de Povonzki“.

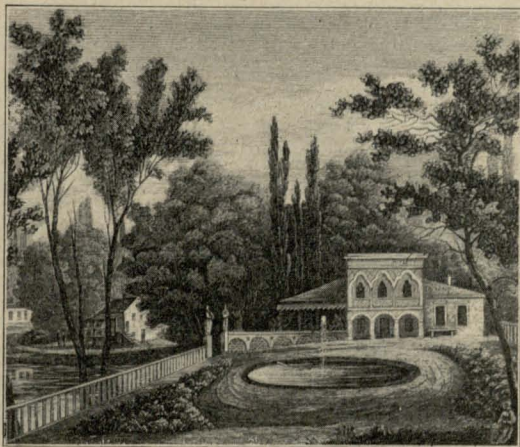
Dzieci księżnej, a nawet młode przyjaciółki tutejszych dziedziczek, miały osobne chałupki, słomą kryte, podobnie jak i chatka, umeblowane.

Było to więc coś w rodzaju wsi arystokratycznej, do której skwapliwie z miasta uciekała księżna, podejmując nieraz liczne grono gości puławskich, nawiedzających gościnnie dwór wiejski.

Trembecki i Karpiński unieśmiertnili w wiązanej mowie tutejszą ustron, zabawy i przepych, zwłaszcza Trembecki przekazał nam wspomnienie w poemacie: Powązki.

Następnie wieś przeszła na własność ks. Lubomirskiej, która, bawiąc więcej zagranicą, nie tak już dbała o utrzymanie dawnej Czartoryskich letniej rezydencji. Willa niszczała, a w apartamentach domu sławne swoje bale wyprawiał ks. Adam Poniński.

Powoli ludność miejska poczęła ciągnąć ku Powązkom, dość, że w końcu XVIII-go wieku urządzono coś w rodzaju spacerowego parku, zna-



Pałacyk.

nego pod mianem ogródka Langa. Taki był koniec wspaniałej siedziby książęcej, dopóki Powązki nie otrzymały zupełnie innego przeznaczenia.

Cmentarze warszawskie, istniejące przy kościołach parafialnych, których w końcu wieku XVIII-go liczono cztery, były przepełnione. Wzrost miasta, a co za tem idzie, i liczniejsza śmiertelność, nakazywały pomyśleć czempredziej o założeniu obszernego cmentarza dla wszystkich parafii, poza obrębem miasta. Na ten cel obrano het, daleko, poza miastem położoną wieś Powązki.

Składki posypały się rażno i niebawem wynosiły 74,235 złp., oraz 21,000 sztuk cegły, tak że w dniu 4 listopada r. 1790, w uroczystość św. Karola Boromeusza, cmentarz Powązki założono.

Pierwszy grunt na ten cel ofiarował Melchior Słepowron-Szymonowski, o czem świadczy blisko katakumb umieszczona tablica erekcyjna.

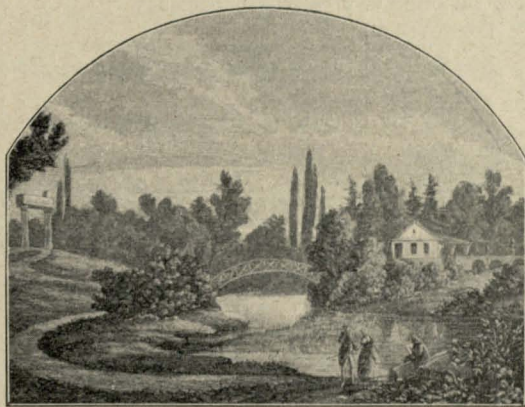
Kamień węgielny pod kościółek położono d. 20 maja r. 1792. Kilka pamiątkowych obrazów dobrego pędzla zdobiło ściany kościoła i zakrysty.



Ruina w parku.

Taka jest krótka historia cmentarza i kościoła, który w czasach ostatnich znacznie powiększony został.

Kilkakrotnie kosztem miasta cmentarz i katakumby rozszerzano, czego ślady pozostały w odłamkach dawnych murów, okalających cmentarz, póki nareszcie nie doszedł do granic, poza które rozszerzyć go nie można, bo miejsca wolnego już niema.



Wjazd do parku.

Het, daleko osiadłe miasto zbliżało się powoli ku cmentarnemu zaciszu, otwierając nową ulicę Powązkowską, która, niegdyś poza miastem położona, obecnie weszła z niem w bezpośrednią styczność.

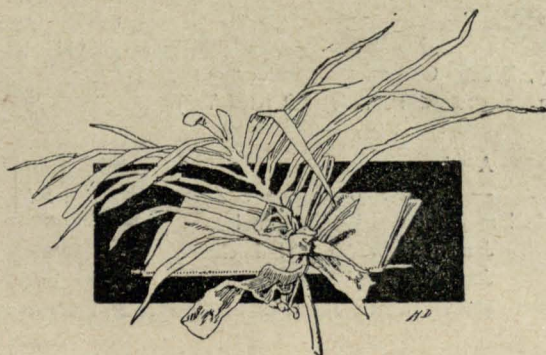
M. OFFMAŃSKI.

W jesienny dzień.

Październikowe słońce ostatnie ciepłe blaski posyła zamierzającej w tęsknocie ziemi. W powietrzu, przesyconem wonią ostatnich jesiennych kwiatów i więdnących liści, kołysze się melancholia, i mgła zadumy opada na ludzkie stroskane czoła. Z cichym szelestem lecą mieniące się złotem i czerwienią liście, z cichym szelestem skrzydeł odlatują marzenia z serc, grających się w zwątpienie i żal.

Coraz smutniej i coraz żałośniej na świecie. Idzie zima, mroząca resztę nadziei, złudzeń i wiosnianych snów.

Ale ty, o serce ludzkie, niepożyta w sobie nosisz moc; jako te kwiaty gasnące, zakwitniesz z wiosną nową, jako te drzewa bezlistne, zazielenisz się znów, albowiem na wieki ci dano przechodzić od rozpacz do radosnego szatu i mieć w sobie odbicie wszystkiego, co jest śmiertelne i co jest nieśmiertelne.



ZADUSZKI.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

„O wieści gminna! ty arko przymierza

„Między dawnymi i nowymi laty!

„W tobie lud składa broń swego rycerza...”

Przed-Z a d u s z k o w y zmierzch wieczorny. Szary, wilgny, smutny zmierzch... Cicho. Tylko liście padające szeleszczą, tylko czasem gdzieś jakieś westchnienie tęskne a tłumione w mroku zaszlocha. Mgły pod niebem, mgły na ziemi.

Noc bez gwiazd. W chatkach światła gasną. Świat ciemnieje. Jeny struga bladego miesięcznego widma od chmur, przez chmury i na chmurach...

Zaduszkowa noc, noc-tęsknota! noc zmarłych, pogrzebionych...

Dusze tęskniące na ziem schodzą...

Pogasił światła lud, wierzący w Zmartwychwstanie, pacierz wypominkowy omackiem odmawia.

Dusze schodzą...

Przysiadł stary chłop na przyźbie chałupy—„Zdrowaśki” szepce.

Ułożyły się dziecka w pościeli. Przytuliły główkami do siebie...

Dusze schodzą...

Czasem co śmielsze modre oczki rozchyli, w przestwór ciemną ślepkami rzuci i znów do poduszki kędziorkami przyłgnie...

W izbie ciemno, na świecie, jak w borze...

Dusze schodzą...

Północ. Kur zapiał.

Idą dusze, padołu ziemskiego spragnione, na swoje groby schodzą.

Wionął wiatr żałosny, cmentarne drzewa rozkołysał, cmentarne grzędy nocną rosą pokropił...

Idzie Dusza-Przeszłość, do Polski, idzie...

Ogromna! w tumanie mgieł, litym pasem księżycowej poświaty przewiązana, a grobów smutniejsza...

Płynie, jak Cień wielki, bez końca, od kurhanu do kurhanu się snuje, nad ruinami zamczysk przelata,

a gdzie pasyjka, g d z i e krzyż na uroczysku, w obłokach mglistych niby w tumie sklepionym przykłęka.

I w pierś się bije.

Przed nią i za nią brzozy trzęsące, jak buńczuki rozwiane, nad nią chmurki, wiatrem pędzone, by proporce furgocą.

(Stary chłop znak krzyża czyni. Dzieciny przytulają lniane główki. Ktoś

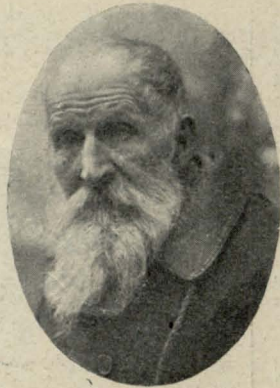
Ty, Duszo Ogromna, miesięcznym światłem przepasana, a grobów smutniejsza? Ktoś Ty?)

A wiatr niesie...

— Jam z Zbozowskich i Zebrzydowskich... Moja wina! moja bardzo wielka wina!

Jam z Łaszców i Stadnickich!

Jam w Birzańskim zamczysku purpury królewskiej żądna! Jam na Tulczyńskich komnatach kłowająca!



100-letni starzec, Wincenty Kacprzak. Nad mogiłą. Fot. Modzelewski.



106-letnia staruszka Litwinka.

Jam buławy obdarzana, pieczęcie dzierżąc! Jam z Radziejowskich i Opalińskich panów pochodna!

...Moja wina! moja wina! moja bardzo wielka wina!

Zapłakała. I bije się w pierś ogromną i na kurhanach zawodzi i na ruinach przykłęka, wołając straszonym głosem:

Odpuść mi, Panie! Wybacz! Przepuść, Miłosierny! Przepuść mi, Panie! bom oto i Żółkiewskich wiodła, i Zamojskie a Rewery prowadziła i o krzyż Twój Święty z Sobieskimi pod Wiedniem stawiała!

Bywałam za Wiarę u Dzikich Pól z Koniecpolskimi hetmany i w Dominika Radziwiłłowym cieleszłam za wolność!

Stawiałam zamki i świątynie Pańskie... Budowałam Zamojskie i Krzemienieckie uczelnie... Na podeptanie pychy Sierotką do Grobu Zbawiciela chadzałam...

Przepuść mi, Panie!

Idzie Dusza-Przeszłość, do Polski idzie...

Idzie. Tysiące mogił obległa, nad tysiącem grobów przystaje, a zda się jedna...

Wiatr nad nią mgłami powiewa, rosy rześiste sieje. Płynie od wsi do wsi, od kołowrota do kołowrota, a za nią tuman chmur, jak wyloty kontusza, nad ziemią zwisający. Idzie liczna, a jedna, a bolejąca, by krzyż przydrożny.

(Stary chłop „Zdrowaśki” szepce. Dzieciny przytulają lniane główki. Ktoś ty, Duszo liczna a jedna, a bolejąca, by krzyż przydrożny?)

A wiatr niesie:

...Z Sicińskich jestem i z Targowicy!

..Moja wina! Moja bardzo wielka wina!

Zrywałam sejmy i rady koronne! Wola bywała mi swywoła! męstwo butą!

Moja wina! moja bardzo wielka wina!

Jam od Wojny Kokoszej i Guzowa! jam z tych, co pod Ujściem tył podali! z tych, co w kłótni braterskiej i zwadzie żyli... Jam z Veta! jam pańskich klamek poplecznica...

Moja wina!

I w pierś się bije i jęczy, jakby w łańcuchy dzwonił, i prosi, od wszystkich mogił prosi:

Wybacz mi, Panie! Bom oto i u Lignickich pól i murów Olsztyńskich dzieci własne stradała! nogi i ręce ciała memu odcinano, że Złotogoleńczykiem je zwano!

Przepuść mi, Panie! Chadzałam z głodnego Zbaraża przez mąk tysiące! u Częstochowy, u Baru byłam! n Cecorskich pól kości kładłam i na piaskach San Domingo! Znają mię śniegi i lody! Znają lochy i ciemnice!

Jam nie z roli i nie z soli!

Wybacz mi, Panie!

Idą dusze do Polski, na mogiłki idą...

Tysiąc! milion duszyczek idzie! płynie! Co cmentarek—pełno... Co mogiłek—ciężba!

A wszystkie jakby z jednej wsi rodzonej.

A przed nimi światło księżycy, by lemiesz srebrny, i mgiełek, sukmanka biała...

Płyną cicho, jakby je wiaterek od pola z liściem brzożnym na groby strącał...

(Stary chłop „Wieczny odpoczynek” szepce. Dzieciny wychyliły główki z pościeli. Patrzą w przestwór

ciemną, jakby pytając:—Ktoście wy, dusze w białej z mgiełek sukmance?)

A wiatr niesie:

...Myśmy niewinowne, a cierpiące. My od Piasta za sochą oracze pracowne, my grzechem śmiertelnym nie zmazane, jeno powszedniej ułomności nieobce!

I oto za tę powszedniość bez winy winę czujem...

Nasza wina! nasza wina! nasza bardzo wielka wina!

Zapłakały rzewnie dziecko, na świat przychodzącego... i jęły połą mgiełek pot a łyzy ocierać i ręce wznosić:

Wybacz nam, Panie! Wybacz, Miłosierny! Wszystkiemu stworzeniu Litościwy!

Wybacz, bo i myśwa bywali... z nimi! Na Kurpiach! u Wielkich Łuk bywali...

My za jednako czujące... Wybacz! Spraw! O d p u s t n e ś w i ę t o z e z w ó ! dla wszystkich... zezwól!

Wiatr niesie... i niesie...

A mgły zaczęły się z s u w a ć ku ziemi, jakby w jeden obłok, w jedną duszę bolejącą... Narodu.

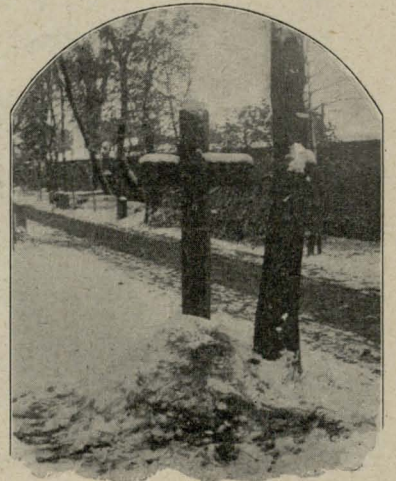
I pomieszało się wszystko łkanie w jedno wielkie zawodzenie i poszło przez wszystkie polskie groby! (Stary chłop uderzył się w pierś. Dzieciny przykłęły w pościeli).

Na dworze mignął świt.

I dzwony jęły wołać: „Za dusze zmarłe!”

Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie!

K. LASKOWSKI.



Krzyż cmentarny.

Mróz na szybach.

Baśń zimowa na szybach przecednie się iść: skrzą się barwy tysiącem płomieniste kwiaty, mrozem na szkle rzeźbione baśniane zaświaty, srebrne freski i pnące brylantowych liści.

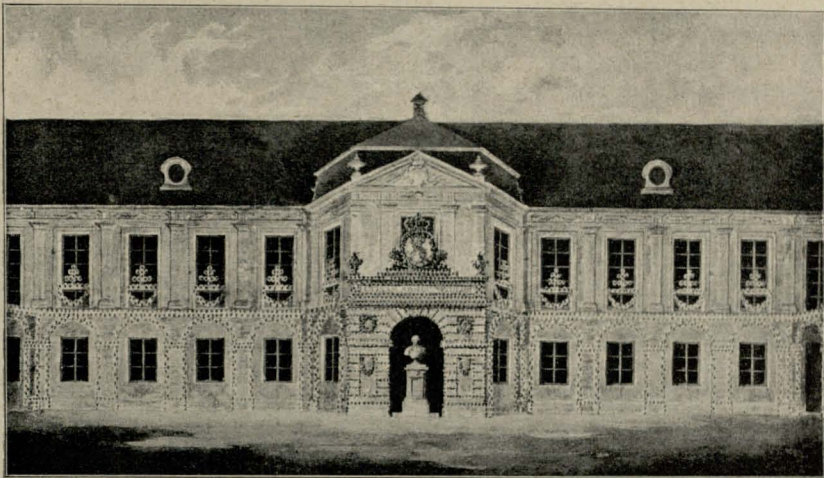
Palm wachlarze pierzaste... drzew przedziwnych lasy, posrebrzane w śniegowych alejach altany — i rozkwitłych irysów w dal idące łany, to baśń, przez mróz rzeźbiona całą mocą krasy...

Widzą mi się pałace... i lśniące krużganki, obsypane śnieżnymi puchami ogrody — i mścyczne... zakrzepłe... skryształone wody, i złotem przetykane z skier śniegu firanki.

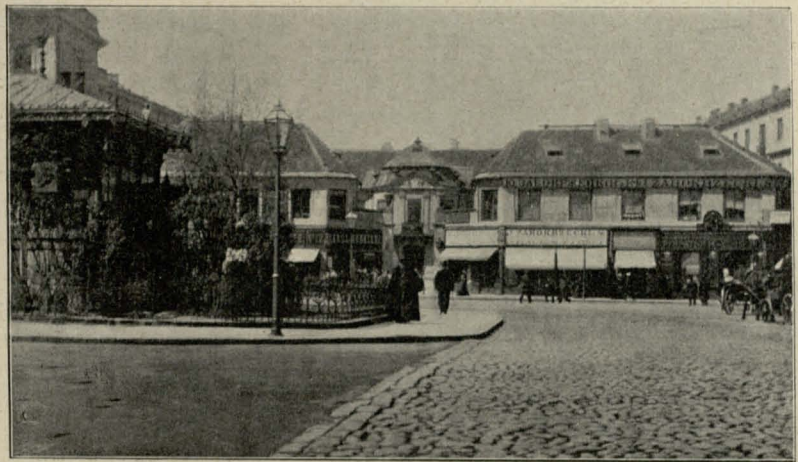
Czarodziejski... bajkowy... nieziemski świat iść, nad nim niebo, iskrzące tęczowemi szkieleki...

... jeno czekać, a zbiegają się gnomy... karzełki, na zakłętej księżniczki czekające przyjsię...

ADAM DOBROWOLSKI.



Pałac Blanka w końcu XVIII wieku.



Pałac Blanka w stanie obecnym.

ALEXANDER KRAUSHAR.

DAWNE PAŁACE WARSZAWSKIE.

PAŁAC BLANKA.

Pałace mieszczańskie i bankierskie.—Homines novi.—Piotr Blank.—Jego fortuna.—Krach z roku 1793.—Koleje pałacu Blanka.

Jednym z wielu dowodów zmiany stosunków i poglądów w kierunku demokracji społeczeństwa polskiego na schyłku XVIII wieku jest fakt powstania w stolicy b. Rzeczypospolitej kilku naraz „pałaców” mieszczańskich i rywalizacja ich pod względem zewnętrznego splendoru z pałacami rodów arystokratycznych. Jakkolwiek nobilitacja sejmowa z roku 1790 zaliczyła posiadaczy owych pałaców, ongi kupczących grubym grosiem i pobierających lichwiarskie od wypożyczonych kapitałów odsetki, do klasy „uprzywilejowanych” i jakkolwiek niektórzy z nich, dla przedjednania opinii, orderzy zagraniczne za grube pieniądze pozyskali, była wszakże między nimi a właścicielami krwi błękitnej ta cecha, która zwykle dorobkiewiczów od szlachty rodowej i karmazynów w prowadzeniu domów na stopie świeżości różniła.

Zdobywszy stanowisko w społeczeństwie, dorobkiewicz, bankierzy, co to w swem rodzimem gnieździe kartofle i kapustę zajadali, puszczali się na ryzykowne przedsięwzięcia, prowadzili okazałe gospodarstwo, przyjmowali u siebie zastęp biesiadników, kominki cynamonowem drzewem, z Anglii sprowadzanem, opalali, posyłali bieliznę do prania nad Sekwanę i tracili fortuny na biesiadach i polowaniach.

Nie jeden z nich podczas krachu z roku 1793, jak najgłośniejszy z nich, Piotr Ferguson Tepper, kark skręcił, ale kłęski uniknął szczęśliwie inny, Piotr Blank, pochodzenia niewiadomego bankier, i rozbił namioty swoje w okazałym pałacu na ulicy Senatorskiej, oraz w willi na Faworach, gdzie też spokojnie w roku 1797, syt dostatków i sławy, żywot doczesny zakończył.

O okazałości pałacu świadczy zachowana z końca XVIII wieku w zbiorach sędziego Mauersbergera rycina, przedstawiająca ów gmach podczas iluminacji, sumptem właściciela w końcu XVIII wieku urządzonej. Ślady świetności dawnej pałacu utrzymały się jeszcze do późniejszych czasów. Po śmierci Blanka pałac jego, N-rem 461 oznaczony, na konkursie, w drodze działów odbytych, nabył szambelan Michał Budziszewski. Odziedziczyły go po nim dzieci: Stanisław, Prosper i Józefa.

Pozostała po Budziszewskim wdowa wyszła za mąż za Marcina Kęszyckiego, lecz w procesie o unieważnienie wspólności majątkowej, przez

dzieci jej wytoczonym, wspólność tę utraciła. Pałac w roku 1826 nabyła córka, Józefa Budziszewska, za 170 tysięcy złp., a po jej zamążpójściu za Aleksandra Kiersnowskiego drogą spadku przeszedł pałac w roku 1868 na dzieci. W skutek działów, odbytych w r. 1879, córka Kazimiera, zamężna Stanisławowa Wierzbicka, nabyła go za 160 tys. rubli. Po śmierci zaś tejże w roku 1890 pałac stał się własnością córki jej, Maryi. W czerwcu 1896 r. magistrat warszawski nabył tę realność za 250 tysięcy rubli.

Z komunikatu urzędowego, w pismach naszych niedawno ogłoszonego, wiemy, że w celu urzeczywistnienia zapisu ś. p. szambelana Lachnickiego Magistrat postanowił pałac Blanka przeznaczyć na Muzeum miejskie, o ileby władze wyższe na proponowane na ten cel inne realności się nie zgodziły. Wybór miejscowości na Muzeum w pałacu Blanka względnie jest trafny, lecz posesya pomieniona wymagać będzie wielkich nakładów, zanim się doprowadzi do stanu, odpowiedniego dla dostojęstwa Muzeum miejskiego.

„Śpiewacy norymberscy” w Warszawie.

Powszednim—nie nazwać faktu wystawienia tu u nas w operze „polskiej” jednego z najtrudniejszych do odtworzenia dzieł Wagnera.

Sceny zagraniczne, zasobne w nie byle jakich solistów i w chóry *à toute épreuve*, uciekają się zazwyczaj, w takich razach, do udziału śpiewaków-specyjalistów, zwanych dosadnie: *Wagnersänger*, t. j. ćwiczonych specjalnie dla skrupulatnego zachowywania w śpiewie, dykcji i grze mimicznej „stylu” Wagnera, różniącego się w znakomitej mierze od stylu tradycyjnego—oper włoskich.

Młoda opera polska nasza *Wagnersängerów* nie posiada, a zapraszać ich na przelotne gościnne występy nie może. Tedy wypadło własnym, swojskim siłom i środkiem podjąć tak skomplikowanemu i ciężkiemu zadaniu. Hansa Sachs, olbrzymią grającego rolę w „Meistersingerach”, panującego nad dziełem całym, powierzone p. Kiersnowskiemu, nie przygotowanemu *jeszcze* do zadań tej skali; w p. Mokrzyckiej znaleziono uroczą i wdzięczną interpretatorkę Ewy, ale ze zbyt słabym głosem, aby mogła współzawodniczyć z potężnym rozhułaniem się orkiestry; p. Ostrowski, jako Pogner, p. Malawski (Dawid), p. Piryńska (Magdalena) uczynili, co mogli, aby utrzymać całość na obowiązującej stopie; ale już Beckmesser (p. Lewicki)

nie utrzymał w granicach komizmu postaci bynajmniej nie karykaturalnej...

Natomiast chóry, na podziw doskonale wyćwiczone w krótkim 22-dniowym okresie czasu przez stałego dyrektora chórów opery naszej (p. Clivio), zasłużyły na najszczerzy i gorący aplauz. Podnieść też wypadnie staranną reżyseryę i okazałą *mise en-scène*, nie mogąc, niestety, nie zauważyć raz jeszcze, że dyrygent orkiestry, bar. Rezniczek, coraz mniej wydaje się powołanym do pozostawiania na odpowiedzialnym i wymagającym znacznie większej energii i pracy stanowisku.

Jedno z drugiem jednak, całość „Meistersingerów” wypadła wcale a wcale zadowalająco, a zważywszy na wyjątkową trudność przedsięwzięcia, na które mało która opera hazardować się próbuje, nie inaczej nazwać wypadnie wystawienia u nas wagnerowskiego arcydzieła, jak istotnym i niezaprzeczonem—sukcesem.

Młoda opera nasza zgotowała nam rzetelną i cenną uroczystość muzyczną, którą we wdzięcznej zachowamy pamięci. Od daty pierwszego wystawienia na scenie Teatru Wielkiego (czwartek, 22 października) do dnia dzisiejszego „Śpiewacy norymberscy” stoją wciąż w ogniu żywego interesowania się nimi publiczności naszej i długo jeszcze, sądzimy, będą w najszlachetniejszy sposób kształcić smak jej artystyczny. Pełność i okazałość naszego repertuaru operowego wygrała niemało na pozyskaniu dzieła, z którym zapoznać się—w interpretacji ze wszech miar wystarczającej—wypadnie każdemu pretendującemu do posiadania kultury muzycznej.

Cz. J.



„Śpiewacy norymberscy”. Końcowa scena aktu III.

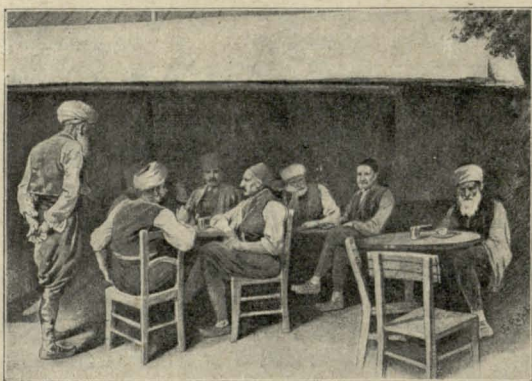


Bojkot towarów austriackich w Konstantynopolu.

Współczesne Bałkany.

Wobec wiktającej się coraz bardziej sytuacji politycznej na półwyspie Bałkańskim staje się rzeczą ciekawą obliczenie bojowej wartości tych państw, które zajęły w stosunku do siebie pozycję wyciekającą, a więc Turcyi i Bułgarii oraz Serbii i Austro-Węgier.

Kto bowiem zwycięży, jeżeli, pomimo wszelkich zapewnień o utrzymaniu pokoju, wybuchnie



Kawiarnia w Serajewie.

wojna? Jakie szanse wygranej mają różni przeciwnicy?

* * *

Zacniemy od Bułgarii i Turcyi.

Ludność Turcyi sięga 25 milionów, gdy tymczasem w Bułgarii niespełna 4 miliony, a i z tego jeszcze odrzucić musimy co najmniej z pół miliona wyznawców proroka. Stosownie do tego w zwykłym czasie wojsko w Bułgarii liczy do 60 tysięcy żołnierzy, a w Turcyi przeszło 250 tysięcy. Odrazu więc widać, iż podczas pokoju siły bojowe Turcyi znacznie przewyższają małe niedawno proklamowane państwo Bułgarów.

Wniosek, jaki się nasuwa z powyższego porównania, nakazuje przypuszczać, że już przy pierwszym zetknięciu się małej Bułgarii z wielką Turcyą nastąpi klęska dla Bułgarów. Lecz wniosek taki miałby rację jedynie pozorną.

Nie mówiąc już o tem, że przy porównywaniu armii wielką rolę odgrywa stosunek ich jakościowy, nawet i stosunek ilościowy armii bułgarskiej i tureckiej znacznym ulega zmianom, o ile zachodzi potrzeba mobilizacji. Podczas wojny armia bułgarska z pewnym wysiłkiem może być doprowadzona do 400 tysięcy żołnierzy, t. j. powiększona liczebnie prawie osiem razy. Co pra-

wda, że i turecka armia przy mobilizacji sięga do 800 tysięcy ludzi, lecz zdwojenie to więcej ma znaczenia na papierze, niż w rzeczywistości, gdyż armia turecka z konieczności rzeczy musi być zawsze rozczłonkowana i podzielona.

Rzeczywiście, podczas gdy Bułgaria ma zupełną możliwość szybkiego skoncentrowania na granicy całej swej armii, złączonej pod jednym wodzem i jednym planem działania, Turcyja znowu z konieczności zmuszona jest podzielić swoje siły bojowe. Znaczne oddziały wojska muszą stałe pozostawać w Jemieniu, w Armenii, na granicy perskiej i w Damaszku. Co prawda, w ostateczności można je przeprowadzić do Europy, lecz podróż musi zająć sporo czasu, przez co wojska przybyć mogą już po rozegraniu się najbardziej kulminacyjnych momentów.

Pozostają więc w ten sposób trzy europejskie oddziały wojska, rozlokowane w Konstantynopolu, Adrianopolu i w Salonikach. Oddziały te niewątpliwie składają się z silnych i tęgich mieszkańców Anatolii, lecz trzeba pamiętać, iż mechanizm państwowego życia tureckiego, aczkolwiek

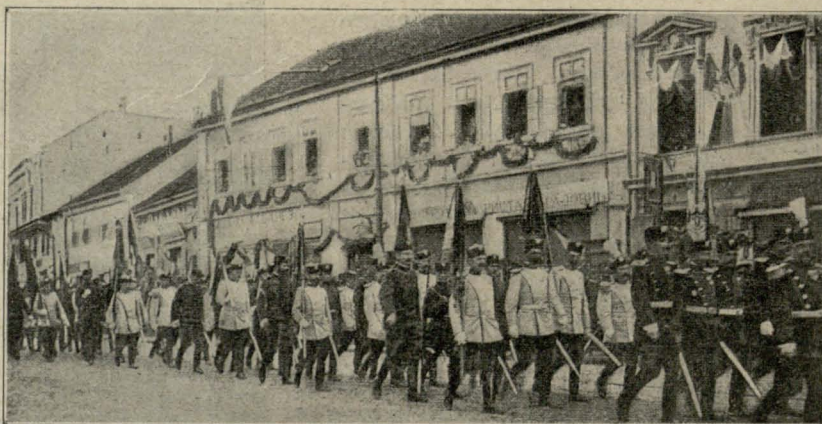


Bułgar.

dziś odnowiony, ma jeszcze w sobie dużo starych, ciężko obracających się sprężyn. Dlatego też prawie z góry przewidzieć można, że mobilizacja w Turcyi odbędzie się z n a c z n i e wolniej, niż w dobrze przygotowanej i zjednoczonej przez wypadki o-

statniej doby Bułgarii. Jeżeli od porównań ilościowych zwrócimy się do jakościowych, to bilans jeszcze korzystniej wyjdzie dla Bułgarii. Prawda, że żołnierz turecki posiada rzadkie zalety nadzwyczajnej odwagi i wytrwałości, a nawet niektórzy z oficerów europejskich uważają go za jedynego pod tym względem na całym świecie, lecz musimy wziąć pod uwagę ostatnie wypadki na terenie Turcyi, które wyrwały swe piętno i na wojsku, a czy na lepsze, czy na gorsze, niewiadomo.

Naogół obecny żołnierz turecki jest słabo przygotowany do boju. Abdul Hamid, obawiając się powstań i rewolucji, nie chciał słuchać wprost o manewrach i o wszelkiej praktyce wojennej. Jedyną praktykę wojenną stanowiły ciągle uśmierzanie szajek powstańczych, lecz od tego daleko bardzo do walki z regularnymi wojskami.



Oddział wojska serbskiego.



Ulica w Serajewie.

Zupełnie inaczej rzecz się ma w Bułgarii. Przez szereg lat nie było ofiary, którejby nie poniósł kraj na ulepszenie armii, poczynając od ministra do zwykłego chłopca lub robotnika. To też dzięki temu stan współczesnej armii bułgarskiej nie przedstawia nic do życzenia. Żołnierz bułgarski to dzielny patriota i rozumna jednostka, która nie jest mięsem dla armat, lecz żywym mechanizmem, bez którego nie sposób prowadzić wojny w dzisiejszych czasach.



Ćwiczenia chłopów bułgarskich na granicy tureckiej.

Co do morskich sił Bułgarii i Turcyi, to są one prawie żadne z jednej i z drugiej strony. Bułgaria posiada jeden okręt, „Nadzieję“, o pojemności 800 ton, a Turcyja, chociaż ma niby 6 pancerników i 2 krążowniki, lecz wszystko to jeszcze po pradziadku i bez dobrze wyćwiczonej załogi.

* * *

Z powodu aneksji Bośni i Hercegowiny coraz możliwszym staje się zatarg orężny pomiędzy Serbią a Austro-Węgrami.

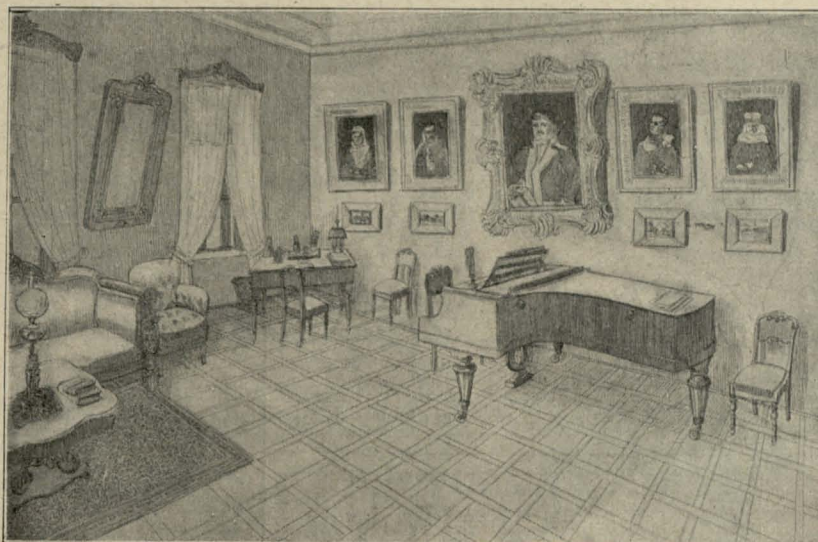
Siły bojowe Serbii są znacznie mniejsze nawet od bułgarskich. Podczas pokoju armia serbska wraz ze specjalnymi wojskami nie przewyższa 30 tysięcy. Podczas wojny przez zwołanie żołnierzy zapasowych do 31 lat może być powiększona do 125 tysięcy, a oprócz tego wraz z rezerwą żołnierzy ponad 31 lat cała armia serbska sięgnie najwyżej 160 tysięcy.

Armia austriacko-węgierska wraz ze specjalnymi wojskami i stałym landwerem składa się podczas pokoju z 350 tysięcy żołnierzy i 1,004 bojowych dział. Szczegóły rozkładania jej podczas boju trzymane są w ścisłej tajemnicy.

Podczas wojny ogólna austro-węgierska armia sięga do 900 tysięcy



Poświęcenie tablicy pamiątkowej Moniuszki, na domu przy ulicy Mazowieckiej Nr 3.



Pokój Moniuszki, rysowany z natury przez Skrobańskiego.

ludzi, a oprócz tego landwery, austriacki i węgierski, dają 340 tysięcy ludzi, co razem wynosi cyfrę 1,240,000, pospolite zaś ruszenie (landsturm) dać może jeszcze do 1,000,000 ludzi. Ogółem więc podczas mobilizacji Austro-Węgry mogą wystawić olbrzymią armię, składającą się z 2,240,000.

Oprócz sił polowych Austro-Węgry posiadają niewielką, lecz za to doskonale zorganizowaną flotę. Składa się ona z 9 pancerników, 3 krążowników I-ej klasy i odpowiedniej ilości mniejszych okrętów. Dla operacji bojowych na Dunaju istnieje również specjalna flotylla rzeczna.

K.

Tablica Moniuszki.

W dniu 26 października przybyła Warszawie jeszcze jedna cenna pamiątka, poświęcona wspomnieniu sławnego polskiego kompozytora, Stanisława Moniuszki.

Przy licznie zebranem gronie czcicieli pieśniarza odbyło się poświęcenie i odsłonięcie tablicy pamiątkowej, nad bramą Nr 3 przy ulicy Mazowieckiej. W domu tym na drugim piętrze od frontu zmarł przed 36 laty niezapomniany twórca „Halki”, tam napisał również ostatni swój utwór, „Beatę”, i ostatni śpiewnik, który obecnie wydaje sekcyja Moniuszki.

Tablica z czerwonego marmuru jest pomysłu zaszczytnie znanego prof. Mikołaja Tołwińskiego, wykonana w zakładzie kamieniarskim Jana Rudnickiego i zdobiona w ornamentacye przez zakład braci Łopieńskich. Mieści na sobie głęboko rzeźbiony napis:

W TYM DOMU
MIESZKAŁ I UMARŁ
4-go CZERWCA 1872 ROKU
STANISŁAW MONIUSZKO.

W związku z uroczystością odsłonięcia pamiątkowej tablicy Moniuszki znajduje się również zapowiedziana na dzień 29 października uroczystość przeniesienia zwłok pieśniarza i żony jego Aleksandry do nowego grobu na Powązkach.

Bardzo serdecznie i sympatycznie brzmiał telegram wileńskiej „Lutni”, nadesłany do warszawskiego Towarzystwa muzycznego z racyi obu uroczystości:

„Całem sercem łączymy się z wami w podniosłej chwili uczczenia naszego ukochanego mistrza: Cześć jego pamięci, pokój prochom jego!”

Proste i gorące słowa wileńskiej „Lutni” są wyrazem tego hołdu i uznania, jakie zawsze składać będzie swojemu umiłowanemu pieśniarzowi całe społeczeństwo polskie.

Uroczystości chopinowskie w Karlsbadzie i Maryenbadzie.

Dnia 4 lipca r. b. odbyła się w Karlsbadzie uroczystość odsłonięcia tablicy pamiątkowej ku czci Chopina, wmurowanej w zagłębienie skalne „Parnas”, obramione i wykute przez miejski urząd budowlany.

Władze karlsbadzkie, czuwając nad całą przestrzenią zdrojową, okazują wiele życzliwości dla wszystkie-

go, co gości polskich dotyczy: utrzymują we wzorowym porządku skwer z pomnikiem Mickiewicza i tablicę pamiątkową na ścianie domu, w którym wieszcz nasz mieszkał podczas swej kuracyi, a w pokoju mickiewiczowskim przechowują księgę pamiątkową do zapisywania się w niej gości polskich i świątłych cudzoziemców, znających w przekładach lub streszczeniach dzieła genialnego tułacza.

Można być pewnym, że zarząd miejski tak samo zaopiekuje się troskliwie naszą nową pamiątką narodową—tablicą Chopina.

Na dużej płycie, z białego marmuru, płaskorzeźba brązowa przedstawia głowę genialnego mistrza tonów, w naturalnej wielkości, udatnie sportretowaną. U dołu wyryto złotymi głoskami „Fryderyk Chopin” (nie więcej); ramę szeroką ujęto w kwiaty i liście rzeźbione. Do miłego wrażenia pomaga bujna roślinność skalna, otaczająca ze wszystkich stron dzieło rzeźbiarza Popiela, starannie odkute i odlane.

Tablicą pamiątkową miał być ozdobiony także dom „Havanna”, gdzie Chopin mieszkał w r. 1835. Akt ten był w r. z. zapowiedziany przez ogłoszenia, licznie rozestane; inicjatorką, sekcyja Chopina przy warszawskim Towarzystwie muzycznym, miała zamiar z uroczystości odsłonięcia pamiątki uczynić święto narodowe, jakie uczyniła w r. 1892 w Maryenbadzie, z tego samego powodu.



Tablica pamiątkowa Chopina w Karlsbadzie.

W maryenbadzkim kościele katolickim odbyło się uroczyste nabożeństwo, przyczem po raz pierwszy w tej świątyni orkiestra wykonała podniosły marsz pogrzebowy Chopina. Kaznodzieja polski wygłosił patryotyczną mowę. Potem, w domu pod „Białym Łabędziem”, w którym Chopin mieszkał w r. 1836, obydła się właściwa uroczystość poświęcenia dwóch pamiątkowych tablic w języku polskim i francuskim; wygłoszono mowy polskie. Uroczystość wspaniałą zakończyło odegranie poloneza Chopina.

Wszyscy kuracyusze polscy, bawiący podówczas w Maryenbadzie, Franzensbadzie i Karlsbadzie, zostali przez komitet pomnikowy, z prezesem swoim, delegatem sekcyi Chopina, Leopoldem Méyetem, na uroczystość zaproszeni. Wszyscy wezwani rodacy przybyli, a za nimi pociągnęli i cudzoziemcy inteligentni, zwabieni majestatem przygotowań. Uczestników zebrał się tłum wielki, duchowo nastrojony, nie tak jak w Karlsbadzie, gdzie się zebrało osób zaledwie kilkadziesiąt, i to najbliższych znajomych p. Włodzimierza Gniwosza, który bez porozumienia się z sekcyją Chopina ufundował tablicę ze składek publicznych i osadził ją na skale, zamiast na domu.

Z uroczystości chopinowskiej, ze święta narodowego p. Gniwosz zrobił obchód prywatny, bo nie zawiadomił o niej ani sekcyi Chopina, ani nikogo z artystów, literatów i innych członków inteligencji polskiej, będących wówczas w Karlsbadzie; nie zamówił mszy solennej w miejscowym kościele katolickim; nie zorganizował odpowiednich śpiewów ani muzyki, chociaż artyści polscy pragnęli przysłużyć się swymi talentami.

Przybył na uroczystość tylko z garstką swych najbliższych znajomych i tylko sam do nich przemawiał, po polsku i po niemiecku, i do publiczności, spacerującej podówczas po drodze hr. Choteka, zdziwionej, że o tym obchodzie znikąd dowiedzieć się nie mogła.

P. Gniwosz przemawiał także, słusznie, do burmistrza miejscowego, dra Pfeifera, prosząc go o opiekę dla pomnika, ale w przemówienie swoje nie wtrącił ani słówka o ziemi czeskiej, a przecież Karlsbad, chociaż leży w sferze posiadłości niemieckiej, należy do korony czeskiej i wśród swych obywateli posiada szczerych patriotów czeskich.

Ale za to p. Gniwosz gorąco dziękował pani ministrowej węgierskiej, która raczyła złożyć jakąś kwotę na pomnik, a nadto jeszcze raczyła przybyć na uroczystość polską. Zapaścił się nawet mówca we wspomnienia historyczne o łączności Polski i Węgier w przeszłości.

Na tej erudycyi ucierpiał Chopin, bo o nim w przemówieniach tak dobrze jakby nic nie było.

Tak samo niema na tablicy słowa „Rodacy”, chociaż nie tylko jedna osoba swój grosz na pomnik złożyła.

W Maryenbadzie komitet pomnikowy był tylko wykonawcą woli społeczeństwa, ale nie zużytkował jej dla swego wyłącznie splendoru. W Karlsbadzie sz. reżyser obchodu powinien być ten przykład naśladować.

„Sekcyja Chopina” zamiaru swego nie zaniechała: umieści tablicę pamiątkową na domu „Havanna”, a o tem święcie uprzedzi ogół rodaków mistrza.

W. M.

Z widowni publicznej.

Wybór posła do rady państwa.—Porachunki osobiste.—Na niwie pracy.—Jubileusz Józefa Mikulskiego.—Z dziedziny handlu i przemysłu.—Odczyt d-ra Rakowieckiego.

Jesteśmy w przededniu nowego rozgwaru i nowej akcji w kuluarach i podwojach Dumy. Moment ten daje się już wyczuwać w prasie codziennej, rozsnuwającej różne horoskopy na przyszłość. Obwieścili go



Henryk hr. Potocki.

również niedawno dokonane wybory posła do rady państwa na miejsce ustępującego z powodu choroby Józefa Ostrowskiego z Maluszyna. Wybór padł na Henryka hr. Potockiego, który przy formalnym balotowaniu gałkami otrzymał 50 głosów „za” i 6 „przeciw”, został więc wybrany znakomitą większością głosów.

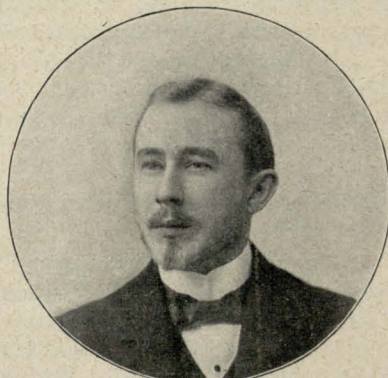
Nowo wybrany poseł do rady państwa nie będzie wcale nowicuszem na ławie ciała prawodawczego, pomnażając liczbę przedstawicieli stronnictwa polityki realnej, do którego zdecydowanych członków należy. Obok dużej znajomości naszych stosunków rolnych i ziemskich wnosi on ze sobą niemały zasób energii i dobrej woli oraz gorącą chęć jak najlepszego wywiązania się z mandatu, powierzonego przez kraj cały.

Henryk hr. Potocki urodził się w roku 1868 w Chrzastowie pod Konięcpolem z ojca Henryka i matki Maryi z Niezabytowskich, obecnie więc liczy lat 40 i jest w pełni sił życiowych. Po ukończeniu gimnazjum w Warszawie wyższe studia odbywał na wszechnicy we Wrocławiu i w Halli, z zamiłowaniem oddając się naukom agronomicznym. Osiadłszy później na roli, oprócz pracy ziemiańskiej stale krzątał się też i na szerszej arenie społecznej, będąc jednym z twórców i organizatorów Tow. emerytalnego pracowników rolnych i gospodarczych w kraju, które powołało go też na swojego prezesa.

W osobie posła Henryka hr. Potockiego przybywa przedstawicielstwu polskiemu jednostka poważna i dzielna. A potrzeba nam takich ludzi, bardzo potrzeba, szczególnie jeżeli wziąć pod uwagę niezdrowe objawy, jakie wciąż jeszcze nie przestają gnębić skolatanego wypadkami ostatniej doby społeczeństwa. Mam na myśli ten potworny zgrzyt, który, zdawać się mogło, nie rozlegnie się już w obecnej chwili — skrytobójstwo, dokonane z za węgla na osobie naczelnika ruchu i sieci tramwajów warszawskich, inżyniera Mieczysława Majewskiego. Znowu przyczyn i pobudek należy szukać prawdopodobnie w zatargach na tle porachunków osobistych niezadowolonych pracowników z ich zwierzchnikami. Droga, jaką sobie obrano w tym wypadku, bardzo nikczemna i ślizka, na której jedynie kark skrócić łatwo.

Ś. p. inżynier Mieczysław Majewski należał do jednostek bardzo wykwalifikowanych w swoim zawodzie i gorliwych i niestrudzonych pracowników w powierzonych mu instytucjach.

Poza tym objawem mamy jednak do zanotowania wśród wydarzeń i wypadków ostatniej doby cały szereg



Mieczysław Majewski.

sympatycznych momentów, przejrzenie zapisujących się w kronice bieżącego życia.

W Moskwie pod redakcją p. S. Pawlińskiego zaczął wychodzić w rosyjskim języku tygodnik *Polak*, poświęcony omawianiu spraw polskich w związku z ideą ogólnosłowiańską. Redakcja w odezwie swej zaznacza, iż pismo jej jest organem zupełnie niezależnym i nie należącym do żadnej partii, a powstanie swe zawdzięcza prywatnej inicjatywie swego redaktora-wydawcy, p. S. Pawlińskiego. Pismo *Polak*, jako organ, przedewszystkiem zainicjujący z naszym życiem źle zazwyczaj informowane społeczeństwo rosyjskie, zasługuje na gorące poparcie.

Baczną uwagę zwraca też na siebie prospekt zapowiedzianego na 1 go grudnia wielkiego bezpartyjnego dziennika *Dzień* pod naczelną redakcją wybitnego publicysty polskiego, Stefana Gorskiego, autora słynnej szeroko broszury o Niemcach. Będzie to zupełnie oryginalnie pomyślane i poprowadzone pismo codzienne na naszym gruncie, formatu wielkich gazet folio arkuszowych o 4 do 8 stronicach wyraźnego druku, coś w rodzaju słynnej gazety amerykańskiej *New-York Herald*. Na liście współpracowników znajdujemy najwybitniejsze nazwiska pisarskie, a i osoba naczelnego redaktora, Stefana Gorskiego, pozwala rokować nadzieję, iż *Dzień* otworzy nową erę w dziejach polskiej prasy i dziennikarstwa.

Do żywo rozwijającej się w ostatnich czasach prasy warszawskiej przybył niedawno nowy sympatyczny dwutygodnik muzyczno-literacki, *Młoda Muzyka*, pod redakcją Romana Chojeckiego. Całość wydanych dotychczas dwóch pierwszych numerów przedstawia się bardzo zajmująco, artykuły i studia pisane są żywo i z temperamentem, cechującym prawdziwą młodość.

Wyróżnia się również ostatni (43) numer *Sceny i Sztuki* doborem swej treści i bogactwem zobrazowaniem współczesnego ruchu na polu sztuki teatralnej. Do zanotowania w tej dziedzinie mamy czterdziestoletni jubileusz zasłużonego polskiego aktora, Józefa Mikulskiego. Obchód jubileuszowy odznaczył się niezwykłą serdecznością i uznaniem dla długoletniej pracy weterana polskiej sceny ze strony licznie zebranych kolegów i życzliwych. Szanowny jubilat żywo pamięta te ubiegłe już czasy, gdy nasza scena święciła wielkie tryumfy i zwycięstwa, o których dziś tylko brzmi czasami echo tęsknych wspomnień...

Z dziedziny handlu i przemysłu mamy również do zanotowania co nieco.

W roku 1895 w Warszawie przez p. Konrada Wasilewskiego została założona z małymi środkami, lecz z wielkim nakładem pracy pierwsza u nas w kraju fabryka pór stalowych. Po kilku już latach artykuł został umiejętnie wprowadzony na rynek krajowy i z powodzeniem konkurował z wyrobami zagranicznymi. W czasie lat strajkowych fabryka dzięki swojemu kierownikowi i dobremu stosunkowi z robotnikami przetrwała czas kryzysu przemysłowego, wówczas gdy zachwiały się i upadły wielkie przedsiębiorstwa. W ostatnim tygodniu odbyło się rozszerzenie lokalu fabrycznego i zwiększenie personelu robotniczego, gdyż przedsiębiorstwo wyrabiania stalówek ma na widoku jeszcze szerszy rozwój wobec wzmaganie się w ostatnich czasach zapotrzebowań na towary krajowe.

Objaw bardzo sympatyczny...

Na wyróżnienie także wśród faktów i zjawisk ostatniej chwili zasługuje odczyt o „Duma o Hetmanie”, wygłoszony w małej sali Filharmonii warszawskiej przez d-ra Rakowieckiego. Cechowały go głębsze myśli i barwna, żywa forma. Wśród całego szeregu odczytów o twórczości i utworach Żeromskiego, odczyt d-ra Rakowieckiego należy do najbardziej udanych.

Z żałobnej karty.

Władysław Wenda. Zgasły niedawno ś. p. Władysław Wenda należał do najstarszych i najzaszcześniejszych obywateli naszego miasta. Urodzony na Pradze w r. 1820 z ojca Gracyana, majora b. wojsk polskich, i Agnieszki z Zawadzkich, kształcił się w liceum warszawskim, a następnie pracował w redakcji *Gazety rządowej Królestwa Polskiego*. Po niejakiem czasie



Władysław Wenda.

widzimy go w charakterze podsekretarza Rady Administracyjnej Królestwa Polskiego, a następnie jako naczelnika archiwum, gdzie gorliwie i sumiennie przesłużył długi szereg lat i na tem stanowisku doczekał się emerytury. Zmarły odznaczał się gorącym umiłowaniem dziejów ojczystych i gruntowną znajomością rzeczy w tej dziedzinie. Napisał krótki rys dziejów Polski, który jako podręcznik był zalecany dla użytku szkolnego za czasów reformy Wielopolskiego; jego pióra również był tekst objaśniający do „Wizerunków królów polskich”, wydanych w roku 1861. Z cennych wskazówek ś. p. Władysława Wendy korzystało wielu podówczas młodych uczonych, jak np. i ś. p. Aleksander Rembowski przy opracowywaniu znanego dzieła: „Źródła do historii pułku polskiego lekkokonnego gwardyi Napoleona I”. Nie tylko zamiłowanie w dziedzinie wiedzy historycznej cechowało szlachetną postać zmarłego, gdyż był prócz tego miłośnikiem i znawcą zabytków krajowych i numizmatyki, pozostawiając po sobie ładne zbiory numizmatyczne. Oprócz zajęć naukowych zmarły brał także czynny udział w sprawach społecznych, dotyczących rodzinnego miasta, współdziałając przy założeniu cmentarza na Bródnie i budowie kościoła św. Floryana na Pradze.

Cichy, skromny przez całe życie, a jednak zawsze czynny i energiczny, zmarł, przeżywszy lat 88, a pozostawił po sobie pamięć zacnego i szlachetnego obywatela kraju i człowieka.

Ks. kanonik Aleksander Sokolik. W Kampinowie przy niezmiernie licznych udziale duchowieństwa, obywateli i ludu odbył się pogrzeb ś. p. ks. kanonika Aleksandra Sokolika, dawnego i zasłużonego nauczyciela religii w Instytucie głuchoniemych i ociemniałych.

W orszaku żałobnym bardzo licznie reprezentowani byli uczniowie i uczennice zmarłego, dziś zajmujący bardzo wybitne stanowiska społeczne, a także stan kapłański, który w ś. p. ks. Aleksandrze Sokoliku utracił bardzo wybitną i znaną szerszemu ogółowi jednostkę.

Zmarły z wielkiem powodzeniem uprawiał niwę literatury podręcznikowej w dziedzinie religii, a cenne jego dziełka należały do najbardziej rozpowszechnionych swego czasu książek szkolnych, z których młodzież czerpała zasady wiary i moralności chrześcijańskiej.

Szereg przemówień, jakie nastąpiły w kościele nad grobem zmarłego, odznaczał się nadzwyczajną serdecznością i żalem nad utratą dzielnej i pracowitej jednostki, która we wszystkich pozostawiła po sobie pamięć nieposzlakowanej czystości człowieka i księdza-obywatela.



Ks. Aleksander Sokolik.

Nasz numer myśliwski.

Jeden z numerów listopadowych *Tygodnika Ilustrowanego* poświęcimy w całości myślistwu współczesnemu w Polsce. Będzie to zeszyt zarówno pod względem literackim, jak artystycznym, niezmiernie barwny i zajmujący. Do współudziału zaprosiliśmy najwybitniejszych pisarzy-myśliwych. Wiązanka ta prac stworzy pełną werwy całość, bogato zilustrowaną reprodukcjami obrazów pierwszorzędných malarzy polskich.

Z dziedziny sensacji.

Załączając podobiznę słynnego małpo-człowieka Zizi-Bambuli, mniemanego syna Murzynki i goryla, który nadzwyczajną sensacją wywołał niedawno w Paryżu, pomimowoli przypominamy sobie różne osobliwe stworzenia, produkowane publicznie i zaopatrywane w fantastyczne rodowody.

Najwięcej puścić ich w świat słynny Barnum, który zazwyczaj dołączał do swoich potworów taki aparat „naukowy”, iż bałamucił nawet i mniej łatwowiernych. Pierwszą z jego osobliwości była Syrena, a właściwie



Szympanś Zizi-Bambula.

ogromna ryba, której przednia część wykazywała niejaki podobieństwo do głowy i do biustu kobiety. Potwór

ten wystawiony był publicznie już po śmierci i, jak się okazało, był sfabrykowany.

Następnie dużo hałasu również narobił autentyczny już potworek, urodzony przed 40 laty w przytułku paryskim, tak zwany „człowiek-żaba”, zniekształcony przez błonki na palcach nóg i rąk oraz przez wysoką obsadę na czaszce, usi i oczu, czem przypominał bardzo żabę. Współcześnie z „człowiekiem-żabą” pokazywano także „człowieka-słonia”, który w górnej połowie ciała zbudowany był normalnie, nogi jednak miał niezwykle grube, niekształtne i pokryte szorstką skórą, podobną do słoniowej. Niedawno znowu istniała „kobieta-tygrysica”, której historia żywo przypomina dzieje obecnego Zizi-Bambuli. Tygrysica była wcale przystojną osobką, na twarzy miała skórę normalną, lecz na reszcie ciała znajdowały się białe i brunatne pręgi w rodzaju tygrysi. O swoim pochodzeniu mówiła bardzo tajemniczo, dając do zrozumienia, że ojcem jej był... bengalski tygrys. Wkrótce jednak w pobliżu panopticum pojawiła się „jedyna prawdziwa kobieta tygrysica”, pokryta tygrysim włosiem. Od tej pory rozpoczęła się zawzięta konkurencja i zobopólne demaskowanie się z dowcipnej i sensacyjnej blagi przed publicznością.

NADESŁANE.

11 medali, Dyplom honorowy 1908 r.

Apteka E. Gessnera, 27 Jerozolimka 27 w Warszawie

Zamiast tranu

Emulsya tranowa

z solami podfosforanu sodu i wapnia. Zalecana w chorobach płuc, skrofutach, chorobie angielskiej i innych.

PASKI DAMSKIE, TOREBKI RĘCZNE, PRZYBORY TOALETOWE, PFRUMERYE, MYDŁA, poleca po stałych niskich cenach.

STEFAN POREBSKI
Kraków, Rynek 32, linia C-D

C-SKORYNAJSKA FABRYKA MASZYN I KAMIENI MŁYNSKICH BUDOWA MŁYNÓW
WARSZAWA-PRAGA WSZELKIE ARTYKUŁY MŁYNSKIE. OLSZOWA 14. TURBINY, TRANSMISJE i. t. p.

NARZĘDZIA LEKARSKIE, ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE, WYROBY NOŻOWNICZE
Bronisław Krug
Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.
Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOLE, ORGANY, MELODYKONY
GEBETHNER i WOLFF
Warszawa, Krak.-Przed. 17



Nowe maszyny DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI „APOLLO“ nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieodzowne w każdym gospodarstwie.
PASY SKÓRZANE oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca **ALFRED GRODZKI** Warszawa, 33, Senatorska.

MEBLE
ZAŁĘSKI i S-ka
Warszawa, Erywańska Nr 2, parter, 1-sze i 2-gie piętro.
Rok założenia 1870. Telefon 16.39.

Ostatnie słowo gry mechanicznej!
ANGELUS.
Angelus-Orchestral. Angelus-Melodant. Angelus-Piano.
Wylączna Reprezentacya na Królestwo i Cesarstwo
Herman & Grossman
Mazowiecka 16 Petersburg Moskwa
CENNIKI GRATIS

LEKARZ DENTYSTA A. ZAWADZKI
ZIELNA 7 róg Złotej, daw. Marszałkow. 108
Telefon 184.47. Przyj. od 10—2 i od 3—5i pół.

ZABAWKI
Gry salonowe. Kotyliionowe przybory. Witraże do okien. Filtry do wody. Nowości paryskie. Katalogi franco.
MAGAZYN FRANCUSKI (BERGA 8)
Księgarnie Gebethnera i Wolffa
W WARSZAWIE, Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9 pośredniczą w prenumeracie pism krajowych i zagranicznych po cenach redakcyjnych.

SALON „ARS”
Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro). Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

KSIEGARNIA **GEBETHNERA i WOLFFA** w Warszawie poleca: **WYBÓR POEZJI** ARTURA OPPMANA (OR-OTA) wydanie nowe zmienione i powiększone, z portretem autora. Cena rb. 1.50, w ozdob. opr. rb. 2 Do nabycia we wszystkich księgarniach.

ODPOWIEDZI.
K. Skomorowskiemu. Dziękujemy bardzo, ale z utworów pańskich nie będziemy mogli skorzystać. Niech się sz. pan przedtem zapozna z pisownią polską i znacznie czytać prawdziwych poetów naszych, a dojdzie pan z pewnością do przekonania, że tego rodzaju „utworu” najlepiej nie „tworzyć” wcale.
Wszystkim rocznym prenumeratom „Tygodnika Ilustrowanego” po opłaceniu przedpłaty za kwartał IV r. b. rozesłane będzie premium za rok bieżący.

w Warszawie, Skład maszyn i potrzeb mleczarskich, Biuro techniczno-mleczarskie, Artykuły hodowlane, gniotowniki do owsa, żyta i jęczmienia. Szatkownice do jarzyn. Maszyny do bielania i dezynfekcji KRAK. PRZEM. 7 i t. p. Przedstawiciele firm: Sveaseparatoru—Stokholm. Simona-Frères—Cherbourg, Chr. Hausen—Copenhagen i t. d. Sprzedaż i zakup masła. Katalog bezpłatnie.

VENUS puder uznany na wystawach higienicznych za najlepszy i nieszkodliwy. **KONSERWATOR** wzmacnia włosy, powstrzymuje wypadanie takowych, pobudza do porostu, usuwa łupież i mikroby 80, 1.25 i 2 rub, 40 kop. **AGATOL** proszek i eliksir do **ZĘBÓW** z silnym aromatem, najlepsze z dotychczas znanych. Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34.

DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH
EKSTRAKT I KARMELKI

LELIWA

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.
SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.


Wyłączna sprzedaż oryginalnych sławuckich
BUREK, PELERYN i KURTEK,
BUTÓW filcowych, **KAFTANÓW,**
KOSZULEK, KALESONÓW wełnianych
SERDAKÓW męskich, **UBRAŃ** zamszowych
PLEDY, DERY na konie,
poleca magazyn przyborów podróżnych
J. ROKICKI i S-ka
Warszawa, Nowo-Senatorska Nr 1 (hotel Rzymski).
Ceny fabryczne. Cenniki gratis.

Zadanie, mające za cel wywołanie porostu włosów, pozostało dotychczas nierozwiązane, pomimo poważnej i opartej na zasadach naukowych pracy w tym kierunku. A jednak są pewne pomyslnie wyniki w tej mierze. Nie uiega bowiem wątpliwości, że można spowodować

porost włosów

jeśli istnieje jeszcze t. zw. cebulka. Chodzi tylko o środek wzmacniający, czyszczący skórę i usuwający łupież. Te właśnie zalety posiada **mydło „Tataro-Chmielowe“**, wyrabiane w „Centralnem Laboratorium Chemicznem“ (Czekay i Kryszewicz) w Warszawie.
Sprzedaż w składach aptecznych.

JÓZEF FRAGET



FABRYKA
**WYROBÓW PLATEROWANYCH
I SREBRNYCH 84-ej PRÓBY**
Warszawa, Elektoralna 753/16.
SKŁADY:
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCZKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26
Telefonu 167.49.

Bracia ŁOPIEŃSCY polecają **BRONZY** Magazyn Krakowskie Przedmieście **№ 15** dom Hrabiego J, Potockiego

Redaktor Dr. JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesł. do redakcyi, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa

ADOLFA NOWACZYŃSKIEGO

BÓG WOJNY

(Napoleon w Warszawie. Rok 1812), dramat w jednym akcie. Cena rb. 1.35. Do nabycia we wszystkich księgarniach. Skład główny u Gebethnera i Wolffa. Tamże

CAR DYMITR JOANNOWICZ

Cena rub. 2 kop. 40.



Słynna ze swych własności aromatycznych, właściwych substancjom roślinnym, służącym do jej przygotowania.

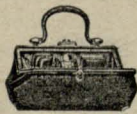
DO NABYCIA WSZĘDZIE.

HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT
Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Chłodna Nr 18, Niecała Nr 9, Dzika Nr 7, Leszno Nr 4, Nowy-Świat Nr 49, Sienna Nr 2 a, Praga Brukowa Nr 32, Długa Nr 19.
Filie: Łódź, Zielona Nr 5. Częstochowa, II Aleja Nr 34.



E. UNIERZYSKI

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



Koncesjonowana przez c. k. Namiestnictwo
SZKOŁA MALARSTWA
(DLA MĘŻCZYZN I KOBIET)
Leonarda Stroynowskiego
W KRAKOWIE.
Gołębia Nr 14.

MILUJĄCYM ZDROWIE! poleca:
Okulary i Binokle z najlepszymi szkłami, wzrok wzmacniającymi po rb. 1.20, **Mikrofony** dla głuchych, **Oliwa** usuwająca szum uszny flakon rb. 1.50, **Bandaże elektryczne** usuwają rupturę, nie krepują ruchów od rb. 6, **Przepaski higieniczne** Venus, Diana i poduszeczki dla dam od rb. 1.50. Środki higieniczne dla pań i panów w **dobrym gatunku**. Cennik specjalny bezpłatnie, wyłącznie w zakładzie **Michała Pik**, Warszawa, ulica Miodowa Nr 1.

Denaturowany spirytus.
Spirytus stały w puszkach,
spirytusowe lampy, palniki,
kucharki, żelazka i t. p.
B. CIA WIŚNIEWSKY i S-ka
Foksal 18, Telefon 3009.

LUDWIK SZUFA KRAWIEC
KRAKOW TELEFON 671

J. MIECZKOWSKI, Fotografia
Marszałkowska III. Telefon 16.81.



Zadać wszędzie z antiolem.